

mes. 12442/4/46 90.

P I O N

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK IV * WARSZAWA * NIEDZIELA — CENA 50 GR. — 15 LISTOPADA 1936 R. * NUMER 46 (163)

TREŚĆ: Marszałek Polski Edward Śmigły-Rydz * JUNIUS: Komentarze * G. K. CHESTERTON: Polska (Przełożyła Xenia Zytomska) * WACŁAW BOROWY: Komedja o zwycięstwie przez klęskę (Zeromskiego „Uciekla mi przepióreczka...“) * KAROL KRZEWSKI: Spór o walkę „młodych“ ze „starymi“ czyli Mały przewodnik po pozytywizmie warszawskim * ST. CZOSNOWSKI: „Strzępy epopei“ *



SZTUKA i ANTENA: WACŁAW BOROWY: „Wesele“ na antenie. — J. E. SKIWSKI: Blaski i cienie ostatnich tygodni * KAROL IRZYKOWSKI, MARIA DĄBROWSKA: Teatr * STANISŁAW CZOSNOWSKI: Idee * KAROL IRZYKOWSKI: Kronika * Nowe książki * W. BĄK: Przegląd prasy.

MARSZAŁEK POLSKI EDWARD ŚMIGŁY-RYDZ

* * *
Zadrgał Ci wzruszeniem głos, Panie Marszałku, kiedy dziękowałaś Głowie Państwa za buławę, którą oto trzymasz mocną dłońią. Nie słabość to sprawiła, nie ciężar wielkiego dziedzictwa i obowiązku, jaki wzięłaś na swoje barki — ale nieporównane dostojeństwo chwili i poczucie gorącej wspólnoty z milionami serc, przez które w tymże samym momencie przebiegł dreszcz wzruszenia. Dreszcz, który zespala i jednoczy.

„Tytuł do tej roli sam sobie wyrąbałaś poprzez długoletni trud“.

Historia stąpa zwykle cichymi krokami. Zajęci dniem dzisiejszym, zatroskani o to, co jutro nam przyniesie, nie spostrzegamy wcale, że idzie za nami krok w krok. Ale bywa czasem, że kroki jej zadźwięczą mocniej, i wówczas, oglądając się wstecz, na prawo i na lewo, widzimy, że poza nami i obok nas powstają rzeczy wielkie. Taką właśnie chwilę przeżyliśmy 10-go listopada.

Marszałek i Wódz. W tych dwóch słowach zawiera się i spełnia logika naszych dziejów.

Rok 1918. Chwila, o której mówił Józef Piłsudski: „Nowa Polska widziała słusznie czy niesłusznie przy swoim pierwszym kroku symbol swój w postaci człowieka ubranego w szary dość obszarpany mundur, zaplamiony w więzieniu magdeburgskim“.

Rok 1936. Szary mundur żołnierski znów jest symbolem Polski, wspólną ideą, programem wspólnym, około którego wszystko się jednoczy.

Czy dlatego, że istnienie naszego Państwa jest i być musi „funkcją naszej siły“? Tak. Czy dlatego wyłącznie? Z całą pewnością — nie. Albowiem mus polityczny może wpływać decydująco na kształtowanie i bieg wypadków, nigdy



jednak nie wypełni całkowicie dążeń i aspiracji wielkiego narodu. Najistotniejszą i najgłębszą treścią duszy narodowej jest jej stosunek do całej ludzkości, do własnej cywilizacji, do ideału.

I tu właśnie znajdziemy pełne wytlumaczenie zjawiska, że dziś, podobnie jak i w zaraniu niepodległości, Polska widzi w żołnierzu nie tylko swego obrońcę ale i ucieleśnienie swej duszy zbiorowej.

Oto dlatego, że w świadomości narodowej wyhodowaliśmy typ żołnierza, jako typ człowieka obdarzonego wszystkimi, najbardziej idealnymi zaletami polskości. Dlatego, że w naszym instynktowym programie wychowawczym jest to typ najlepiej i najprzejrzyciej historycznie ukształtowany, najbliższy temu, co wydaje nam się wzorem człowieka, obywatela swej ojczyzny i obywatela wspólnej ojczyzny wszystkich ludzi. „Po-

trafiliśmy — mówił Józef Piłsudski — swym wysiłkiem, swoim sercem, swoją wielką pracą i wolą dać Polsce nowy kulturalny nabytek — dać typ dobrego żołnierza polskiego“ — zgodny z najlepszymi tradycjami przeszłości.

I czyż można słuszniej i piękniej określić rolę żołnierza, tak jak ją rozumiemy w Polsce, niż to uczynił sam Wódz Naczelny w jednym ze swoich przemówień?

„Ażeby móc oddawać się nauce i sztuce, ażeby móc pielęgnować cnoty społeczne i obywatelskie, ażeby móc w wigilijny wieczór w nastroju, w rodzinnym gronie wyglądać pierwszej gwiazdki na niebie, ażeby móc rozmyślać nad tym, jak najmądrzej rozbudowywać swe państwo i najlepszych i najmądrzejszych dobierać do tego środków, na to wszystko potrzebna silna, przepojona miłością ojczyzny, gotowa do wykonania obowiązku armia“.

Była w ostatnich czasach w Polsce, po śmierci Józefa Piłsudskiego, wielka tęsknota za Wodzem. Kto tłumaczył ją tylko chęcią przerzucenia odpowiedzialności na jednego człowieka, ten ją rozumiał źle. Płynęła ona, przeciwnie, ze świadomości, że są w narodzie siły i pragnienie czynu. Ale siły te zespolić w celowym, wspólnym wysiłku, uczynić z nich narzędzie wielkości i potęgi Państwa — może tylko jedna wola i jedno serce, bijące zgodnie z sercem narodu.

* * *
Następca Budowniczego Polski niepodległej czuje utkwiony w sobie wzrok wszystkich bez wyjątku obywateli Rzeczypospolitej. Ten wzrok, ta spokojna, niczym niezamącona ufność — to najmowniejszy dowód, czym jest dla Polski szary mundur żołnierza.

K 1669/86/39
Biblioteka
Zadania

KOMENTARZE

Jeszcze dnia 26 października Ignacy Daszyński przyjmował życzenia od przyjaciół i towarzyszy partyjnych, którzy obchodzili uroczyste 70 rocznicę urodzin swego przywódcy. W kilka dni potem już nie żył. Człowiek, którego żywiołem była walka, zgasł cicho, z dala od świata, na dalekiej prowincji.

Odszedł znów jeden z tych, co byli symbolem Polski przełomu. Jeden z ludzi, których zrodził okres, kiedy pod wpływem budzącej się myśli politycznej kraj otrząsał się z bezwładu, kiedy duża część młodego pokolenia ujrzała w socjalizmie zwiastuna nowego porządku na świecie, łącząc z hasłami rewolucji społecznej nadzieję oswojenia ojczyzny.

Przywódcą mas robotniczych, szef partii, znakomity parlamentarzysta, dziennikarz, działacz niepodległościowy, pierwszy premier polski, wicepremier Rządu Obrony Narodowej, marszałek Sejmu — Ignacy Daszyński należał do ludzi, którzy mając w życiu wiele trudów i wiele tryumfów, potrafią je dźwigać z jednakową godnością i odwagą. Kiedy rozwój wypadków musiał go doprowadzić do konfliktu z tym, w którym widział zawsze towarzysza i wodza, odczuwał to na pewno boleśnie. Pozostał jednak wierny zasadom, które uważał za słuszne, choć życie poszło inną drogą. Nie należał do ludzi, którzy mogą zawsze zaczynać od początku. Usunął się w cień.

Kto widział, choćby przelotnie, Ignacego Daszyńskiego, nie zapomni prostej, wykwintnej sylwetki wielkiego działacza i patrioty, jego szlachetnie rzeźbionej głowy i oczu pełnych ognia.

*

Nie wiem, czy tak było dawniej, a może i zawsze tak było. Ale wydaje mi się, że dziś, gdy żegnamy odchodzących w nieznane ludzi z „przedwojennej“ Polski, unoszą oni z sobą całą swą epokę. I rzeczywistość, czytając treść przemówienia, jakie wygłosił minister Grabowski na zjeździe prawników w Katowicach, widzimy, że „tamci“ zupełnie inaczej patrzyli na świat. Mowa ministra sprawiedliwości była niewątpliwie ewenementem. Po raz pierwszy bowiem usłyszeliśmy z ust przedstawiciela rządu słowa, które przynoszą zapowiedź zmian, sięgających do samych podstaw życia zbiorowego — decyzję poszukiwania zupełnie nowych form dla innej, przyszłej rzeczywistości.

G. K. CHESTERTON: P O L S K A

Niech jakiś augur, co o prawdę dba,
Tych dziwnych ptaków przejrzy lot bezkarny:
Dwa mroczne orły o podwójnych łbach
I lśniący, dumny orzeł czarny...
Za nimi w ślad za sępem leciał sęp, —
Nad krajem — śmiercią cichym — krążył nisko...
Ci, co sprzedają obcych łupów strzęp,
Jak sępy dążąc na pobożowisko,
Przyznali słusność koniecznemu złu:
Bo naród ten — orzekli — ludzie szarzy...
Tak... Był w kościele niegdyś szary tłum,
Gołębi tłum, co łupem był handlarzy.
Spłaszczony, drżał na koszyków dnie,
Fruwały wokół, gapiom na pokusę, —
Aż ponad zgłębkiem zagrzebiał boski gniew!
W przekupniów trafił piorun — gniew Chrystusa!
I — tego gniewu symbol — wleciał ptak.
Promiennym skrzydłem zaśnił w wielkiej nawie,
Gdzie od pokoju — świętszy wojny znak
I od miłości świętsza jest nienawiść!
Gdzie bohaterstwem płonie każdy ruch,
Gdzie się o wolność walczy w Imię Boże! —
Wspaniały, groźny, niby Święty Duch,
Od gołębic bielszy — Biały Orzeł!

Przełożyła XENIA ZYDOMIRSKA

Polityka i ekonomia — to dziedziny, zrodzone z praktycznych konieczności chwili. Płynność stosunków politycznych i gospodarczych nie zawsze pozwala rozróżnić, co się w świecie zmienia na czas dłuższy, a co jest tylko wytworem chwilowej koniunktury. Prawo podąża zawsze nieco w tyle za życiem. Gdy zmiany w tej dziedzinie stają się konieczne, to znak, że nowa rzeczywistość krzepnie i utrwala się w coraz wyraźniejszym kształcie.

„Deklaracja praw człowieka i obywatela przestała istnieć — mówił minister Grabowski, analizując współczesne, najbardziej charakterystyczne kierunki myśli prawniczej. — Cóż dano w zamian? Dano prymat wspólnoty jako podstawę: wszystko dla wspólnoty, nic dla jednostki“.

Tak chce logika ewolucji dzisiejszych społeczeństw. Z oddali wieków przemawia znowu — starożytny Rzym.

*

Rzym powraca. Nie tylko w tendencjach prawa publicznego, nie tylko w opowieści wykopalisk i w geście ukłonu faszystowskiego, ale przede wszystkim wraca nad Morze Śródziemne rosnąca potęgą Włoch.

Mediolańska mowa Mussoliniego była, jak wszystkie jego przemówienia, jasna, zwięzła i mocna w konstrukcji.

„Jestem bardzo syntetyczny — mówił il Duce — ale podkreślam, że każde moje słowo jest przemysłane“.

A więc — precz ze złudzeniami: z rozbrojeniem, zbiorowym bezpieczeństwem i pokojem niepodzielnym. Liga Narodów? Niech sobie ginie w spokoju. Aby prowadzić politykę pokojową, nie potrzeba nam ligowych przedpokojów.

W stronę Francji: na wyczekiwanie i rezerwę odpowiadamy — rezerwą i wyczekiwaniem.

W stronę Anglii: dla was — Morze Śródziemne jest jedną z dróg, dla nas — kwestią życia.

W stronę Niemiec: za pomoc w sprawie abisyńskiej — linia Berlin-Rzym. Do wszystkich: pokój zbrojny.

Język twardy, szorstki, ale nie pozbawiony wielkości. I czyż w gruncie rzeczy ta sama idea zbrojnego pokoju nie jest najistotniejszą treścią mowy tronowej króla Edwarda, oświadczenia p. E. dena w Izbie Gmin i p. Daladiera w komisji obrony narodowej? „Olbrzymi las ośmiu milionów dobrze wyostrzonych bagnatów, dzierzonych dłonią młodzieńców o nieustraszoną sercu“ kołysze się nad Włochami; a ile milionów gdzie indziej? Brytyjski minister spraw zagranicznych przyznał otwarcie, iż „w dziele utrzymania pokoju stan sił zbroj-

nych Anglii ma znaczenie decydujące“. Oto rzeczywistość.

*

Roosevelt potrafił zwyciężyć. Jego przeciwnicy potrafili ulec. Po ogłoszeniu wyniku wyborów, Landon, a za nim Hearst i Smith, najgorętsi przeciwnicy Roosevelta, wezwali swych przyjaciół, aby skupili się wokół prezydenta. Pojedynkę zakończył się zgodnie z zasadami obowiązującymi gentlemanów. „Wielki eksperyment“ trwa.

Amerykanie zachowali się sportowo i grają *fair play*. Nie czynimy, jak to nieraz bywało, zbyt daleko idących porównań stosunków europejskich z „wielką demokracją Zachodu“. Prawidła gry politycznej w Europie nie mają nic wspólnego ze sportem. No i... Amerykan na to stać.

Naród amerykański oddał swe losy w ręce prezydenta Roosevelta na lat cztery. Jak nim pokieruje ten, któremu zawdzięczają Yankesi zwycięstwo nad kryzysem? Oto wielka niewiadoma. Jedno wydaje się pewne: inne musiały być założenia polityki gospodarczej Roosevelta wówczas, gdy szło o przełamanie kryzysu, inne będą dziś, w okresie wzrastającej koniunktury. Natomiast w polityce zagranicznej nikt wielkich zmian nie oczekuje.

*

Zmienił się za to gabinet w... Iraku. A że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, więc można przypuszczać, że wzmocnienie garnizonów angielskich wskutek rozruchów w Palestynie przyszło w samą porę. Problem ochrony komunikacji Anglii z Indiami staje się coraz bardziej aktualny. Sprawca zamachu bagdadzkiego, Sidky bey, nie uchodzi bowiem za wielkiego przyjaciela Anglii i nie wiadomo, jakie będą losy traktatu zawartego pomiędzy Anglią a Irakiem w r. 1930.

Traktat ten opierał się na następujących zasadach: wzajemna konsultacja obu państw w sprawach zagranicznych. Pomoc zbrojna na wypadek wojny. Irak zasadniczo utrzymuje własną siłę zbrojną; Anglia jednak, dla zabezpieczenia swej komunikacji ze Wschodem, ma w Iraku tereny lotnicze i garnizony w niektórych miejscowościach.

Okazuje się, że uspokojenie ruchu arabskiego w Palestynie nie oznacza wygranej. Panarabizm, posiew pułkownika Lawrence'a, rozwija się, organizuje... grozi. Droga do Indji przez Morze Śródziemne jest krótsza, ale coraz mniej pewna.

JUNIUS

WACŁAW BOROWY:

KOMEDIA O ZWYCIĘSTWIE PRZEZ KLĘSKĘ*

(ZEROMSKIEGO „UCIEKŁA MI PRZEPIÓRECZKA...“)

Komedia *Uciekła mi przepióreczka* jest w twórczości Zeromskiego szczytem o szczególnej formacji. Już we wcześniejszych opowiadaniach (o których już była tu mowa z powodu *Szyfów prac*) osiągnął Zeromski wysoki artyzm w przedstawianiu scen dramatycznych i w dialogach, zwłaszcza kiedy dotyczyły rzeczy realnych, ze świata szlachecko-chłopskiego, rolniczo-wiejskiego. Ten artyzm jeszcze poszerzał się później: w *Popiołach* do ustępów najcięższych, najbardziej wrażliwych się w pamięć należą rozmowy takie, jak Nardzewskiego z chłopem-strzelcem w rozdziale początkowym, albo Rafała i Krzysztofa z kolegami wojskowymi pod koniec tomu II-go: jest w nich wszystkich znakomita naturalność, są doskonale zaznaczone indywidualne właściwości stylu. W dziełach z okresu po *Popiołach* jest pod tym

względem mniej dobrze; wprawdzie i w nich zdarzają się dialogi świetne (charakterystyczne przykłady zestawil Adamczewski); ale na ogół i one ulegają ogólnemu naciskowi „stylu artystycznego“. Ten też styl (w postaci tylko trochę powściągliwszej) panuje i w pierwszych dramatach: nie tylko w *Sulkowskim i Róży*, ale jeszcze i w *Ponad śnieg*. Równocześnie jednak Zeromski wyzwała się spod przemocy tego stylu i w ostatnich latach życia osiąga pod tym względem niemałe zdobycze: nawet w *Wietrze od morza*, który w założeniu jest utworem poetyckim, znacznie mniej niż w dawnych utworach tego typu koturnowości i intensywnego poetyckiego słownictwa; dość w nim za to terminów technicznych i nawet sporo potocznych wyrażen współczesnych, chociaż tłem opowiadania są przecież przeważnie dawne czasy. Wysokim osiągnięciem w zakresie tego, co można ietotnie nazwać „nowym stylem“ Zeromskiego, jest *Przedwiośnie*. Pierwsi czytelnicy, zelektryzowani motywami ideowymi tej książki, przeważnie nie

dostrzegli, jaka to znakomita proza: coś jakby nawrót do dawnej, ale wzbogacony przecieć o wiele rysów, które Zeromskiemu dało późniejsze życie i późniejsza kultura literacka; jednym z nich jest pogłębiony humor. Dziś mniej nas poruszają dyskusje o komunizmie, wprowadzone do tej powieści; tym więcej możemy się lubować jej stylem. ściślej: stylem niektórych jej części: zwłaszcza początkowej i pewnej części epizodu nawłockiego. (Byłoby to samo zapewne z innymi, gdyby jaśniejsza była dla nas historia pani Laury i gdyby sprawy społeczno-polityczne nie tworzyły takiego spłotu z najciślej prywatną erotyką: kiedy jednak fabuła staje się niezdecydowana, to samo dzieje się naturalnie i ze stylem). Prawdziwym natomiast triumfem w nowej prozie jest *Przepióreczka* — cała utrzymana w języku prostym, powszednim, spod rygoru jednolitego koloru ni gdzie nie wylamanym.

Przepióreczka wytrzymała nie tylko próbę czytelniczą, ale (jedyna ze wszystkich sztuk Zeromskiego) i kilkakrotną próbę ec-

ny. Po latach to i owo, trzeba przyznać, wyglądając w niej już trochę historycznie i bez mała wymaga komentarza. Pomijając drobniaki, w rodzaju owych „dolarów i funtów“, które w czasie premiery sztuki wymieniało się z takim specjalnym akcentem; pomijając darowizny starych gmachów, które dziś nie tak dziwią, zwłaszcza jeśli od tych gmachów trzeba opłacać podatki; mniej trochę jesteśmy dzisiaj skłonni do wzruszania się regionalizmem, który jest o tyle lat starszy, a nie okazał się takim skutecznym środkiem na niedomagania społeczne i kulturalne, jakim się wówczas wydawał entuzjastom. To też I akt jest dziś bladejszy; ekspozycja, a poza ten akt rozciągnięta, trochę nam się dłuży. Autor jednak okazuje się mistrzem dialogu, więc powoli dajemy się ogarnąć nastrojowi, który jest nastrojem jakiejś społeczno-naukowej groteski, podobnej trochę do tych, które mamy w komediach Juliusza Romaina. *Knocka* czy *Profesorze Le Trouhadec*, z tą różnicą, że panuje w niej nie satyryczna ironia, ale humorystyczna pogoda.

* Zob. „Zeromski po latach“ w *Pionie* Nr. 43 (160), „Powieść o dorastaniu“ w *Pionie* Nr. 44 (161) i „Rapsod o Lachu serdecznym“ w *Pionie* Nr. 45 (162).

Z drugim aktem dopiero ten nastrój szybko się zmienia — w miarę tego jak rozwija się przed nami dramat, który, jeśli byśmy się znów mieli oglądać za analogiami w innych literaturach, mógłby być określony jako odwrotność dramatu *a Rozkoszy uczciwości* Pirandella (bo gdy tam bohater zjawia się jako rozbitek życiowy, wciągnięty do gry, w której przypada mu rola wyglądająca dla wszystkich na poniżającą, a dzięki nieustępliwemu rygorystyzmowi etycznemu kończy sztukę jako triumfator: tutaj bohater zjawia się jako triumfator, a nieustępliwemu rygorystyzmowi jego „obyczajów” każe mu podjąć grę, w której obiera sobie rolę poniżającą i kończy sztukę jako rozbitek życiowy; gdy tam wynikiem gry zdobycie miłości, tutaj utrata). Sztuka Pirandella, arcydzieło tego pisarza, pozbawiona tak uprzykrzonej w innych jego rzeczach kazuistyki relatywistycznej, ma nierównie bardziej zwartą strukturę (mimo znacznego udziału reżonerstwa filozoficznego), dramatyczne konieczności sytuacji zarysowują się w niej bardziej przekonywująco, intryga jej jest przejrzystsza (acz ma nie mniej niż w Żeromskiego sztuczności); postaci zarysowują się mocniej, dzięki temu, że są (metodą klasyczną) wyposażone w rysy ostre a nieliczne. Żeromski jest więcej realistą. Postaci jego są bardziej cieniowane: od razu np. poznajemy humor Przelęckiego, lekką afektację Smugoniowej i t. d. Charakterystyczny dialog i wyraźnie występujące tło obyczajowe to jeszcze dwa dalsze czynniki, które uprawniałyby do nazwania *Przebiegów* sztuką realistyczną. Stopień jej realizmu w porównaniu ze sztuką Pirandella może się wydawać znaczny; w istocie i on zamyka się w granicach pewnego konwensu scenicznego. A od rodzaju przyjętego konwensu zależy w dużej mierze i charakter logiki dramatycznej utworu.

Trzeba pamiętać o tym, kiedy się stawia pytania co do motywów akcji Przelęckiego. Na rzecz czego Przelęcki się poświęca? Cemu rezygnuje ze szczęścia osobistego w miłości? Z tekstu sztuki nie wynika, żeby dla niego istniały sankcje sakramentalne małżeństwa. Trudno też przypuścić, żeby jakieś większe znaczenie mogły mieć dla niego względy towarzysko-społeczne, o których napomyka (przedstawiając wrazenie, jakie by wywołał rozwód na kursie regionalnym). Motywem głównym jest, że Przelęcki nie chce cudzej krzywdy i krzywdę taką uważałby za plamę nie tylko na swoim honorze, ale i na swoim dziele społecznym. Chodzi o Smugonię; przecież po rozmowie z nim dopiero Przelęcki decyduje się na plan, który wykona w ostatnim akcie. Czymże go Smugonię sobie zjednał? Czym mu się wydał godnym poświęcenia? Zapewne, po części swoją prostą uczciwością i rzetelną pracą, nade wszystko przecież jednym: głęboką miłością do dziecka. Jak tyle innych utworów Żeromskiego, i ta sztuka jest holdem poetyckim dla potęgi uczuć rodzicielskich. Bo zważmy, że i w wykonaniu swojego planu Przelęcki do tych uczuć przede wszystkim się odwołuje: przecież zniechęca Smugoniową do siebie głównie przez zastraszenie jej koniecznością rozstania się z dzieckiem.

To uzasadnienie rezygnacji Przelęckiego. Dlaczego jednak przybiera ona taką przykrą postać? Cemu takie poniżenie, takie bez mała przekreślenie się życiowe? Czy nie mógł — ciągle pytają krytycy — znaleźć innego wyjścia? Czyż nie przyszło mu do głowy, że popelnia „grzech przeciwko sobie”, tak kalecząc się moralnie bez winy? Przelęcki jednak nie czuje się bez winy. Trzeba wejść w świat Żeromskiego, w który sama sztuka atmosferą swoją wciąga, a zohacz się to wyraźnie.

Rzadko kto przedstawiał miłość z takim, jak Żeromski, upojeniem i taką sugestią uroku zmysłowego i duchowego, rzadko przez kogo była ona ukazywana z taką siłą żywiołowego działania na wewnątrz i na zewnątrz, rzadko czują twórczość można tak, jak jego, zilustrować samymi scenami miłosnymi; a przecież ta potęga miłości zawsze jest u niego groźna, i zarazem zagrożona: albo sama coś niszczy wysoce cennego, albo sama niszczy. Jakże kruche i przelotne jest szczęście kochanków w *Popiołach*, *Walgierzu*, *Dziejach grzechu*, *Urodzie życia*, *Wiernej rzece*, *Walce z szatanem*, *Ponad śnieg*, *Pavoncellu*, *Wietrze od morza*, *Przedwiosniu*: jak w większości wypadków widoki jego na dalszą przyszłość są beznadziejne; jak często miłość sama się rozkłada lub zabija pod wpływem czynników zewnętrznych albo kolizji z innymi uczuciami. Po ileż to razy też już tak się w twórczości Żeromskiego wydarzało, że od miłości uciekano: tak było w *Mogile*, *Tabu*, *Pokusie*, *Legendzie o bracie leśnym*, *Szyfowych pracach*, *Ludziach bezdomnych*, tak w *Róży*, *Sulkowskim*.

Przelęcki igrał z niebezpieczeństwem miłości, lekceważąc „kuszenie szatana”, i odczuwa to jako swoją winę; jej wyrównanie jest późne, i dlatego kosztowne: bo w sferze tragicznej (a w nią wtapujemy) równowagę przywraca się tylko drogą wielkiej utraty, zwycięstwo osiąga się przez klęskę. Rzeczą krępującą jest, że zwyciężają wysokie moty-

wy: ukorzenie się przed świętością cudzych uczuć ojcowskich, górne rozumienie ideału społecznego, powaga obywatelska wreszcie (bo przeciw profesorów z kursu regionalnego obraża Przelęcki lekceważeniem zapalu nauczycielskiego i głupimi żartami na temat ministra). Ten triumf rzeczy wysokich wietuje w wielkiej mierze i łagodzi w naszym wrazeniu upokarzającą ofiarę Przelęckiego; przywraca nawet pewną — przez cierpienie przefiltrowaną — radość.

Mimo też pewne niedociągnięcia faktury trzeba powiedzieć, że w utworze tym szczególnie przejrzysty i harmonijny wyraz znalazł przebiegający przez całą twórczość

Żeromskiego motyw żelaznej woli, wyrastającej z gorącej afirmacji życia — rozumnej, a gotowej do walki i poświęceń. Czyni to też utwor podwójnie cennym: nie tylko ze względu na jego własną artystyczną wartość, ale i ze względu na jego symboliczną w działalności pisarskiej Żeromskiego.

A i ta druga okoliczność nie może być dla nas obojętna. W dorobku Żeromskiego możemy wyróżnić rzeczy dwojakie: jedne są wewnętrznie zestrojone w całości artystyczne (i o tych tu głównie była mowa), inne nie są zestrojone w taki sposób. Ale czytać przeciw będziemy zarówno pierwsze jak drugie. Tylko niejednako: pierwsze jako u-

twory samojętne, które możemy porównywać z innymi utworami literatury świata; drugie — jako rodzaj tego, co Norwid nazywa „pamiętnikiem artysty”, choćbyśmy nieraz musieli przyznać, posługując się znowu słowami Norwida, że pamiętnik ten czasami „bywa omylon”. Tym cenniejsze są te utwory, w których to, co najbardziej pamiętnikowo powrotne, wyraża się w sposób artystycznie najbardziej samostarczalny.¹

¹ Artykuł ten jest częścią odczytu, wygłoszonego w Kole Polonistów Uniwersytetu S. B. w Wilnie dn. 10 marca 1936 r.

KAROL
KRZEWSKI:

SPÓR O WALKĘ „MŁODYCH” ZE „STARYMI”

C Z Y L I

MAŁY PRZEWODNIK PO POZYTYWIZMIE WARSZAWSKIM

I. STRZAŁ DO PRAWDY „OCZYWI- STEJ”

Spór ten gorący, namiętny, często napaetliwy wywołał dr. Piotr Chmielowski swoim *Zarysem literatury z ostatnich lat szesnastu*. O tym pierwszym po r. 1863 zarysie współczesnej literatury umieściłem rozprawkę w *Księżce zbiorowej* ku czci Ignacego Chrzanowskiego.

Próbowałem w niej, oparłszy się na materiałach i źródłach, odpowiedzieć także na pytanie, kto pierwszy puścił w obieg zdanie, że pozytywizm jako termin został sobie przez pozytywistów warszawskich przywłaszczony. Okazuje się dowodnie, że uczynił to Chmielowski-pozytywista. Od Chmielowskiego to poszło, że pozytywizm w Polsce to *nom de guerre*, że pozytywizm to legenda, iż zawołanie to dlatego było dobre, iż na razie nie dało się znaleźć lepszego.

Ten sam sąd (a raczej osąd) wydał i Aleksander Świętochowski w ogłoszonym fragmencie ze swego *Pamiętnika* (*Wiadomości Literackie* 1931).

Jestem odmiennego zdania, które usiłowałem poprzeć dowodami, rozpatrując *Zarys* Chmielowskiego na tle walki *młodych* ze *starymi* i nie wyczerpawszy hynajmniej wszystkich dowodów.

Jestem gotów spierać się o to, że nasz pozytywizm był ściśle związany z pozytywizmem europejskim (nie ograniczającym go wyłącznie do Comte'a, bo to już nas, do prawdy, kompromituje!). Co więcej: gotów jestem ulec w sporze, ale tylko w takim, w którym moi przeciwnicy (jakże do nich tęsknię!) nie będą ociekać, jak potem, gęstym olejem z ogólników, na których się smaży u nas wiele charakterystyk, zwanych ogólnymi. Powtarzałem parokrotnie, że prawdy „oczywiste” tak się czepiają umysłów ludzkich jak oset odzienia. Omotują one każdy „okreś”, każdy „prąd”, każdą „epokę” literatury jak babie lata gałęzie drzew. Świeżo znalazłem tego dowód na XXIII str. niedawno wydanego pamiętnika T. T. Jeża (*Od kolebki przez życie*), czytając, że Z. Milkowski najśliszniej ze swego pokolenia przeciwstawił się „hasłom pracy organicznej”. Prawda, że to... prawda? Ale to jest właśnie prawda „oczywista”. Ludzie kochani! Przecież to Jeż-Milkowski ukuł dla *młodych* termin: „praca organiczna”, przecież to on był jej nie przeciwnikiem, lecz gorącym zwolennikiem, podobnie jak i „pracy u podstaw”. Jakżeż tak można?

Rozpatrzmy się w sporze, który wywołał tak dla siebie niespodzianie P. Chmielowski w r. 1881, wtedy gdy pięknie usiłował być bezstronnym. Pograżamy się w morze „materiałowe”. Od razu na głębię! Może ten spór o walkę *młodych* ze *starymi*, złożony z wielu relacji współczesnych, czegoś nas znowu o pozytywizmie warszawskim nauczy.

2. WILK Z „KURIERA WARSZAWSKIEGO”

„Do eksplozji kotła parowego można by do pewnego stopnia porównać pojawienie się książki p. Chmielowskiego *Zarys literatury z ostatnich lat 16-tu*, a to ze względu na wywołaną wrzawę” — tak oświadczył Kazimierz Grzymała w *Tygodniku Powszechnym*, udzielając w swej *Pogadance* napomnienia *młodym*, za co Al. Świętochowski trzepnął w *Prawdzie* po palcach i po całej ręce, nazwał „nadętym pęcherzykiem”, „mizerią”, galicjaninem (w r. 1881, o mój I. K. C!) i dodał, że „niedługo roznosiciele *młodej* i *starej* prasy głos w tej sprawie (walki *młodych* ze *starymi*) zabiorą”. Chmielowski swoim *Zarysem* rozognił przycichającą już walkę *młodych* ze *starymi*. Wywołał wilka z lasu. Uderzył w stół.

I można by rozpocząć wykład wstępny o pozytywizmie polskim oto jak: Przed wielu, wielu laty, kiedy to Polski niepodległej nie było, wyszedł wilk z wielkiego lasu i rzucił się na p. Piotra Chmielowskiego. Tym wilkiem był Adam Goraj, a lasem *Kurier Warszawski*.

Młodzi znali Chmielowskiego i mieli go za swojego, kim zaś był ten Goraj zrazu nie wiedzieli, *Kurier* zaś *Warszawski* (z Prusem czy bez Prusa) był im solą w oku, bo twierdził o skurczu, cuchnącą „konserwą”, strawą dla społeczeństwa niezdrową.

Goraj (niedawno umarł! nazwisko w *Estreicherze*) drukował z numeru na numer swoje *Słów kilka z powodu dzieła Dra P. Chmielowskiego p. t.: Zarys literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu*, a główny tytuł brzmiał: *Tendycyjność i krytyka*.

Łatwo sobie wyobrazić, że *młodzi* pozytywiści, którzy w r. 1881 stanowili obóz postępowy, powstawali na nogi we wszystkich redakcjach, bo po każdym felietonie Goraja wrzalo w dziennikarskiej i literackiej Warszawie jak w ulu, a t. zw. „publiczność czytająca”, która się o literaturę otarła, miała zabawę, jakich mało. *Starzy* znowu, antypozytywiści, widząc, co się święci i na co się zanosi, zdecydowali po swoich znowu redakcjach, że w kaszę dmuchać sobie nie pozwolą.

Al. Świętochowski, wspominając o Goraju, z dwu jego zdań ułożył (w *Wiadomościach Literackich*) jeden wyjątek z *Tendycyjności i krytyki*, zaopatrzył go aż w dziewięć wykrzykników i dorzucił zdanie trzecie, ale już swoje: „trudno więcej skłamać lub bardziej przeoczyć” — i tyle. Nie przewidywał chyba Goraj, gdy igrał sobie w r. 1881 z tekstem Chmielowskiego, szarpiąc tego wziętego lipskiego doktora filozofii (był to tytuł w Warszawie wagi ciężkiej!), że go w r. 1931 już w stolicy niepodległego państwa dopadnie groźny Świętochowski, ten pułkownik Wołodyjowski wojsk *młodych* i nowej publicystyki, który piórem niejedną żywot usiłował zgasić jak świecę.

Stosunek Goraja do treści *Zarysu* Chmielowskiego, bez którego nie ujrzałaby świata hoźego *Tendycyjność i krytyka*, był i lekko-myślny i nieuczciwy. Sumiennością Goraj się nie popisał, zdradził nieznajomość sil i pola walki *młodych*, których sobie lekcewał, o *starych* nie ciekawego ani nowego nie umiał powiedzieć, Comte'a i szkoły pozytywistycznej nie znał, rozprawę ks. F. Krupin-skiego nie czytał, do roczników *Biblioteki Warszawskiej*, która się pozytywizmem zajmowała — nie zaglądał. To też pomieszał psychologa i profesora logiki Baina z Bainesami z encyklopedii, a co najgorsze uśmiercił Herberta Spencera (którego nazwisko znane było nawet podrastającej młodzieży gimnazjalnej w Warszawie), biorąc go za innego Spencera: Jana Karola, ministra. Gdy Gorajowi zdawało się, że złapał Chmielowskiego, jak kozak Tatarzyna, J. Alczyński, adwokat przysięgły i z przekonaniem postępowiec, potraktował dwukrotnie Goraja jak Tatarzyn kozaka i jeszcze go przezwiał (w *Nowinach*) „Kurierowym Salomonem”. Ujawnił jednak Goraj znajomość literatury polskiej, wysilił się (niepotrzebnie) na porównanie walki *młodych* ze *starymi* z *Querelles des anciens et des modernes*, popisał się wiadomościami z literatury niemieckiej, a pisał o tym wszystkim nie tak poprawnie jak Chmielowski, ale na ogół — nie gorzej.

Cały swój spryt wysilił Goraj na zawsze irytującą taktkę popierania swoich założeń i przekonania fałszywym lub niescisłym przytaczaniem tekstu przeciwnika. *Zarys* Chmielowskiego nazwał Goraj: „Niezręczną reklamą dla małego kółka wzajemnych adoratorów, mniemających, że tworzą stronnictwo w społeczeństwie”, ale nikogo poważnego o tym nie przekonał, sam zaś spotkał się z oceną surową i gorąco wyrażoną w *Nowinach* przez Adama Brzozę, który orzekł, że:

„W najgwałtowniejszych i najbardziej namiętnych wystąpieniach młodej prasy nie pamiętamy takiej wściekłej nienawiści, takiego zapomnienia się, takiego wyuzdania tonu, takiego walezenia fałszem, niesłusznego krzywdzenia przeciwników”.

Nie sposób temu racji nie przyznać, choćby z powodu takiego np. faktu. Chmielowski, oceniając twórczość Sienkiewicza, zdawał so-

bie jasno sprawę już w r. 1881, że ma do czynienia z pisarzem miary niepośledniej, ale trafił kulą w plot, oceniając *Niewolę tatarską*, o której napisał tylko tyle:

„Ostatnia praca jego (Sienkiewicza), nasładowująca językiem i kolorytem styl archaiczny, pod nazwą *Niewola tatarska*, urywki z kroniki szlacheckiej Aleksiego Zdanoborskiego (w *Niwie* w 1880), jakkolwiek ma ustępy piękne, a zwłaszcza rzewne, jakkolwiek i myślą szlachetną wytrwania przy ideałach jest ożywiona, wskazuje przecież a powyżajniej wskazywać się zdaje, że dziedzina powieści historycznej jest dla Sienkiewicza zamkniętą”.

Cichcem podejrzewam Sienkiewicza, że na złość Chmielowskiemu „wziął” i napisał *Ogniem i mieczem*, ale o cóż podejrzewać Goraja, gdy zmyślił oto co:

„Nareszcie, aby dać obraz, czym jest u nas tendycyjność, dodać należy, że *Niewola tatarska* dlatego się nie podobała (Chmielowskiemu), ponieważ z *naszej* historii jest zaczerpnięta, a co gorzej, ponieważ cierpienia i przypadki szlachcica polskiego przedstawia”.

Nieźle! Co? Aczkolwiek w *Tendycyjności i krytyce* Goraja znajduje się niejedno kłamstwo z głupstwem za mądrą podane prawdę, są jednak powody, które skłaniają mnie do przytoczenia opinii Goraja o popowstaniowym ruchu umysłowym. Podług Goraja:

„od roku 1864 do 1874 (właściwie do 1876) w pewnej części publicystyki objawiać się zaczął w samej Warszawie dziwny jakiś i chorobliwy ruch, którego motywów zbadać trudno, cech wybitnych oznaczyć nie podobna, środków dojrzeć nie można, celu się domyślić ani dopatrzeć skutków”.

Zrozumiemy jednak objaw ten częściowo, jeśli sobie przypomnimy, w jakich smutnych warunkach znajdowało się natenczas społeczeństwo i jak ściśniona była działalność prasy i słowa”.

To co w ruchu *młodych* było jasne dla Chmielowskiego, było mętne dla Goraja, a gdy pisał zdania powyższe, słowo było przez cenzurę rosyjską jeszcze srodze ściśnione.

Społeczeństwo — według Goraja — ma naturalną potrzebę ścierania się opinii. W normalnych warunkach tworzą się więc t. zw. „wewnętrzno-polityczne stronnictwa”. Ale społeczeństwo w anormalnych i przymusowych znajdujące się okolicznościach manifestuje swoją żywotność w sposób sztuczny i nienaturalny. Wytworzyło się więc w nim stronnictwo fikcyjne. Sprowadziło sobie ono z zagranicy rozmaite zasady estetyczne, filozoficzne teorie i całą haterię formulek. Był to grunt partii *młodych*. Takie słowa jak: postęp, wiedza jednoznaczne miały być z pozytywizmem i posiadały urok dla niedouczonej chłopczki, którzy wyraz brali za rzecz, a frazes za fakt.

„Nic łatwiejszego, jak szlachetną a gorącą przez się młodzież schwylić na pięknie brzmiące słowa, tym łatwiej, jeżeli się tej młodzieży dowodzi, że każdy przyjmujący na siebie firmę jakiegoś pozytywizmu, choćby bez żadnego o nim pojęcia, staje zarazem na świeczniku społecznym i jest jedną ze społecznych pochodni, oświecającą ciemności zacofania i przesądów”.

Więc fikcyjne stronnictwo *młodych* powstało tym sposobem, że kilku ludzi, widzących w tym osobisty i prywatny interes, gromadziło około siebie łatwowierną młodzież, przekonaną niebawem, że krzycząc dużo, trochę pisząc, a nic nie umiając, można reprezentować partię w społeczeństwie”.

Aby zaś być stronnictwem w całym tego słowa znaczeniu, trzeba mieć przeciwników.

„Natychemiast wymyślono sobie, że oprócz *młodych*, istnieją jacyś *starzy* i że z nimi walczyć należy”.

Tym sposobem wystawiono sobie, że stronnictwo, mające tylko literackie znamię, następnie zasadnicze piętno, obecnie przybrać ma polityczne znaczenie.

Czyż mogło być coś bardziej ponętnego dla młodzieży, dla której wszelka polityka szczerze była zamkniętą, jak wyobrazić sobie, że się jest takim stronnictwem społeczno-politycznym?”

Walka ze *starymi* miała być nową drogą *młodych*.

„Tymczasem te nowe drogi ducha były przeważaniem zwietrzałych na Zachodzie doktryn, o których sami ich prozelici nasi prawie żadnego nie mieli pojęcia“.

Twórczej siły w dziwnym kole *młodych* nie było. Nie wydalo to kolo żadnego człowieka czynu, jakim był Saint-Simon, żaden „Lassall“ też się tam nie urodził. To też żadnej walki nie było.

„Jakżeż można było walczyć ze stronnictwem, które nie istniało? — jak można było zbijać zasady, których adherenci nie znali?... Jak zbijać wyznawców teorii Comte'a innymi teoriami, jeśli zwolennicy samego Comte'a nie czytali? Jak dowodzić na podstawie choćby samego Darwina jego wyznawcom, że go nie rozumieją, jeśli wyznawcy Darwina także nie czytali“¹.

Według Goraja małeńka zaledwie część prasy walczyła z sztucznie stworzonym stronnictwem. Walka ta owoców nie wydała żadnych.

„Toteż nie wpłynęła ona w niezłym na losy i poglądy ogółu, nie wysła poza rogatki miejskie, lub właściwie nie wysła poza obręb redakcji, nie znalazłszy oddźwięku w społeczeństwie“.

To właśnie zdanie Goraja obok jego twierdzenia, że z tego „chorobliwego“ ruchu po r. 64 nie można sobie zdać sprawy (aczkolwiek Goraj zdawał z niego sprawę), skłoniło Świętochowskiego do ostrego i słusznego sądu, że trudno więcej skłamać lub przeczyć. Z powodu *Tendencyjności i krytyki* zaznaczyć jednak muszę, że bez znajomości walki *młodych* ze *starymi*, którą częściowo tylko i jednostronnie znamy dzięki *Walce na Parasie* Wóycickiego (bo to rzecz z literaturą wyłącznie związana), trudno jest wydać sąd o tym, co Goraj wypisał.

Walka *młodych* ze *starymi* była przeważnie dziennikarska. *Młodzi* mieli doskonałą reprezentację wśród ludzi pióra. Któż wątpi, że jeden Świętochowski starczył za dziesięć, za dwudziestu starszych i *młodych* wiekiem (jak Goraj) dziennikarzy, którzy pracowali w t. zw. *starej* prasie? Świętochowski, Chmielowski, Ochorowicz i inni wybitni politycy nie byli to — proszę wierzyć — typowi dla Warszawy dziennikarze i publicyści, ani jej przeciętni panowie redaktorzy. *Młoda* prasa miała trochę niedouczonego współpracowników, ale *stara* prasa zbyt wielu niewykształconych. Toteż została pobita o wiele wcześniej, niż się komu zdaje. Nie stawała do żadnych sporów o charakterze naukowym, nie stać jej było na zorganizowanie sobie dobrych przeglądów naukowych, niesklonna była do jakiegokolwiek zdecydowanego, nawet w ramach ostrej cenzury, poruszania społecznych zagadnień aktualnych i według jakichś zasad, co jednak *młoda* prasa umiejętnie robiła. Wolą *stara* prasa rozstrzygać sprawy zagraniczne państw europejskich i zajmować się teatrem a raczej „aktoromanią“, jak jej wytykali *młodzi*.

Co się działo wewnątrz redakcji *młodej* prasy — to się działo. Bez tych wiadomości możemy się doskonale zresztą obejść, ale na zewnątrz — *młoda* prasa ujawnia pracę celową, zespoloną i arcykuteczną. Była to prasa w ataku niezmordowana. Jakże ona zmusiła *Bibliotekę Warszawską* do podciągnięcia się i do przewietrzenia po takim K. Wł. Wóycickim, do rozglądania się po Europie! *Stara* prasa wlewała się w ogień *młodej* i była przez nią wleczona za włosy, za uszy. Niechętnie się godziła z terminami „młodzi“, „młoda prasa“. Przeciwestawiała przymiotnikowi „stara“ — przymiotnik „nowa“. „Nowa prasa“! Bo to wiadomo: co stare — to dobre, a co nowe — diabła warte. Nie mogło być *starych*, bo gdy ich nie było — istnienie *młodych* się nie tłumaczyło. Gdyby *młodzi* byli fikcją, urojeniem niedowarzonych głów, nie byłoby *starych*. Dziennikarze ze *starej* prasy uznali za rzecz taktycznie słuszną zaprzeczać rzeczywistości i oczywistości.

Dowodem tego jest Goraj, który mi się przedstawia jako nieszczęśliwy w sidłach wła-

¹ Goraj wyzyskał to, co Chmielowski w *Zarysie* napisał o darwinizmie, a co warto przytoczyć:

„Była jeszcze zupełnie nowa i nader interesująca kwestia przemiany gatunków czyli — teoria Darwina. Właściwym rozpowszechnicielem jej u nas był młody wtenczas student nauk przyrodzonych, Bronisław Rejelman, który przetłumaczywszy część odczytów Ludwika Büchnera o teorii Darwina, wydał je własnym nakładem (Warszawa 1869 r.). Ale cóż? była to kwestia, co narobiła dużo hałasu, wywołała humorystyczne broszury, wzbudziła straszną wrzawę w łamach zachowawczego dziennikarstwa, lecz na razie nie mogła stać się hasłem ogólnym, — bo nie tylko jej przeciwnicy, ale nawet zwolennicy nie mieli o niej dokładnego pojęcia. Do jej zrozumienia potrzebna była gruntowna znajomość nauk przyrodniczych; a tymczasem najwięcej wyznawców liczyła w gronie filologów i prawników. Samego dzieła Darwina zwolennicy prawie nie czytali, więc też i argumentów do jej obrony nie posiadali pod dostatkiem. Gadano o niej, sprzeczano się i dyskutowano dosyć często i długo, ale końców, nie wywołała ona w tym czasie tej potężnej siły twórczej, która ją później do głównych hasel postępu zaliczyć kazała“.

snego rozumowania. Stronnictwo *młodych* było fikcją według niego. A przecież cała *Tendencyjność i krytyka* jest właśnie wyłącznym zwalczaniem tego „stronnictwa“. Otóż: trzeba by koniecznie uchwycić tę chwilę, kiedy zaczyna się mówić o „stronnictwie“, kiedy to *stara* prasa próbuje nadać młodej piętno polityczne. W którym to roku po 64 rzecz ta wypłynęła? Pozytywizm polski w opinii naszego ogółu dawno już przetoczono na tor polityczny, dzięki czemu nawet profesorowie historii nie odróżniają stanowiska politycznego Spasowicza od stanowiska Świętochowskiego, co jest pomyłką rażąca, od której ustrzec dobrych ludzi może tylko poznanie wszystkich faz walki *starej* prasy z *młoda*, której wyrazem jest *Tendencyjność i krytyka* i to wyrazem jaskrawym.

Pyszny jest Goraj, gdy w roku 1881 wprawia, jak gdyby nigdy nic, w Warszawie, że to Świętochowskich, Chmielowskich, Ochorowiczów, Méyetów, Ochimowskich, Mięrosławskich, Rajchmanów, Brodackich a także Prusów i Sienkiewiczów, nie licząc wielu, wielu innych jako młodzień szlachetną i gorącą kilka osób dla celów prywatnych obalamucilo! Mogło to może w r. 1881 kogoś obruszyć w Warszawie, ale dziś — kupa to śmiechu! O Goraje, Goraje! Jednym filantom i filaretom darowaliście dzięki Mickiewiczowi, bo już po nich zawsze ktoś tę szlachetną a głupią młodzież obalamuciał... Ale niechże mi kto powie, dlaczego innej młodzieży w tym samym czasie, dlaczego *starych* krakowskich nikt nie obalamuciał? Otóż to! Jest się nad czym zastanowić. Czy może dlatego, że to oni, aczkolwiek też *młodzi*, zaczęli się szybko pozytywistom warszawskim przeciwstawiać? Czy St. Tarnowski do Warszawy zjeżdżał tylko po to, by odczyty o Fredrze wygłaszać?

Goraj plotkując napisał, że „kilku ludzi“ gromadziło koło siebie młodzież łatwowierną. Jedną osobę umiem wymienić. Jest nią Adam Wiślicki, redaktor *Przeglądu Tygodniowego*. Ten brał grube pieniądze (nazywa się to teraz: „subsydium“) od Spencera, Mila i Darwina, a także od Renana i Taine'a, by w umyślach polskich szepiecąc ich zgubne zasady, teorie i metody... Ale inne osoby? Jak tu sprawdzić czy to plotka, czy nie? Ach, ten pozytywizm polski! Ciągłe skłania do pytań!

3. KOLEGA KOTARBIŃSKI MA GŁOS...

Już w czasie ukazywania się felietonów Goraja, kolega i dobry znajomy Chmielowski, Józef Kotarbiński, umieścił w *Nowinach* sprawozdanie z *Zarysu*. Stwierdza on, że mało która doba rozwoju literackiego doczekała się tak prędko swego historyka jak okres rozgraniczony 1863 rokiem, który jest punktem zwrotnym w polskim rozwoju społeczno-umysłowym.

„Bez formalnego powierzchownego przywiązania się do dat, możemy dziś już na mocy wyraźnych objawów sądzić, że po przebiegu ciężkiego kataklizmu, rozpoczął się okres nowych prądów, nowej polityki społecznej i okres skupienia i cichej pracy wewnętrznej, przeciwstawiającej się dawnym porządkom i żywemu rozkwitowi fantazji“.

Kotarbiński, rozkochany w teatrze, deklamujący stale Szekspira i romantyków (ale z tym „pozytywista“), nie wiedział, że nam będzie bardzo zależało właśnie na tym „przywiązaniu się“ do rozmaitych dat, dotyczących pozytywizmu. Był to krytyk literacki postępowy, wzięty, odczytany, ale przy Chmielowskim... dyktant. Metodyki historii literatury Kotarbiński nie napisał, ale i bez niej świadectwo jego może być arcyciekawe. Zarzucił on Chmielowskiemu, że nie dosyć podkreślił ten fakt, że Szkoła Główna stworzyła tylko żywną atmosferę umysłową, w której rozwinęły się nowożytny — jak napisze — zdobyte prądów postępowych, ale sama nie była czynnikiem szerzącym takie prądy i ujawniającym najnowsze zdobycze wiedzy, głośne na Zachodzie. Jest to zarzut, gdy o Chmielowskiego chodzi, zresztą niesłuszny. Usprawiedliwia Kotarbiński Szkołę Główną wskazując na to, że i w innych uniwersytetach najnowsze zdobycze wiedzy i teorie filozoficzne nie otrzymały również prawa obywatelstwa. I tutaj się myli, gdy o zdobyte wiedzy chodzi. Co zaś do kierunku, który reprezentowali *młodzi* czyli „ludzie pióra, których wykształciła Szkoła Główna“, wniosek ostateczny Kotarbińskiego jest wyraźny:

„Było to jednym słowem połączenie zasad wolnomyślności z hasłami polityki praktycznej, utylitarnej, a kierunek ten potęgował pod względem literackim, wytwarzając nowe organa i wydawnictwa“.

A więc mamy świadectwo, że zasady pozytywizmu były „wolnomyślne“, jak i — dalej — stwierdzenie (uwzględnione i przez Chmielowskiego), że *stara* prasa tendencyjnie milczała o działalności *młodych* oraz najsluszniejsze w świecie podkreślenie roli samego autora *Zarysu* wśród kół *młodych*.

„A jednak w duchu prawdy przypomnieć należy, że był on (Chmielowski) jednym z głównych przedstawicieli grupy umiarkowanie postępowej, że zaznaczył się jako główny przedstawiciel nowych dążeń i nowej metody badania dzieł literatury, że swą płodną a gruntowną pracą na polu tych badań zbagacił niepospolicie naszą krytykę, wreszcie należy do ludzi, którzy dzięki swej wiedzy, sumienności i talentowi stanowią sami przez się niezłomny dowód żywotności prądów, jakie reprezentują“.

Prawda! Ale zgody na „talent“ Chmielowskiego nie masz!

A wreszcie relacja czyniąca wrażenie relacji:

„Autor (ciągle Chmielowski) może nadto pominać wewnętrzne stosunki literackie, usuwając na bok kwestie osobiste, jednakże warto było potrącić niektóre szczegóły i faktu, objaśniające szybki liczebny wzrost, a potem widoczne osłabienie stronnictwa postępowego. Warto było wspomnieć, jaki pokazywał zastęp zgromadził się koło tego sztabu w chwili, gdy młoda prasa, uprzedzając hold całego społeczeństwa na parę lat przed jubileuszem, uczęła zasługi Kraszewskiego. Warto było zauważyć, że gdyby przewodnictwo tej falangi zrozumiało wówczas swe doniosłe stanowisko, gdyby miało tyle siły duchowej i taktu, aby utrzymać spójnie i stworzyć ognisko działalności szerokiej, gdyby potrafiło wzniesić się ponad parciałne niechęci i pogodzić interesy spekulacyjne z interesami reprezentowanej sprawy, nie byłoby widziało stopniowej dezercji spod sztandaru postępowego, nie czułoby się stopniowo opuszczone przez najdzielniejszych szermierzy sprawy a nareszcie zupełnie odosobnione“.

Zwiążmy się z datami, podkreśliwszy sobie na marginesie, że Kotarbiński podobnie jak i Goraj (ohaj w 1881 r.) piszą nam o „stronnictwie“. Drugi o „wewnętrzno-politycznym“, „fikiyjnym“, pierwszy o „postępowym“. Najpierw — podług Kotarbińskiego — stronnictwo to wzrosło, czego dowodem ów „pokazywał zastęp“, co to uprzedził jubileusz Kraszewskiego. Jubileusz ten (przyśpieszony o rok) wypadł w r. 1879. W którym roku *młoda* prasa uczęła Kraszewskiego? W roku 1874, w którym delegacji *młodych*, Julian Ochorowicz i Piotr Chmielowski (przebywający podówczas w Lipsku — „wkuwał się“ przed doktoratem!), uprzedzając *starych* i całe społeczeństwo, złożyli Kraszewskiemu w Dreźnie album pamiątkowy... Nie! błąd! w roku 1874 album był bezpłciowym embrionem, bo rzeczownikiem rodzaju nijakiego. Album (ani słowa: piękny!) było pamiątkowe.

Ze słów Kotarbińskiego dowiadujemy się, że po roku 1874 (ale w którym?) zaczęła się dezercja spod znaku postępowego, a to z winy „przewodnictwa“, które miało „parciałne niechęci“ i „spekulacyjne interesy“, czyli jak Goraj napisał „interesy prywatne, osobiste“. Pachnie to doskonałą plotką. Ale cóż? dym jest, ale ognia nie widać. Na całe dla siebie szczęście tego, co się stało po roku 74, dzięki Bogu, nie pamiętam. Ale rok mego urodzenia nie wpłynę fatalnie na historię pozytywizmu warszawskiego dzięki Świętochowskiemu, który już wyznał:

„W r. 1877 bój ideowy „młodej prasy“ zakończył się jej zwycięstwem, trwały tylko dalej zwyczajne starcia przeciwnych kierunków opinii. Pomalutę też zniknęły lub przedzierzgnęły się w inne postacie jej organy *Niwa* i *Opiekun Domowy*: pozostał tylko *Przegląd Tygodniowy* z odosobnionym Wiślickim, który, przegrawszy hazardową stawkę rusofilstwa, podniecał niebezpiecznie zmniejszonych i przywiązanych siłą należnym honorariumi polemicznymi bez innej myśli przewodniej, prócz zwracania uwagi hałasem kłótni dziennikarskiej“.

Wszystko wydaje mi się jasne. „Przewodnictwo falangi... nareszcie zupełnie odosobnione“ Kotarbińskiego równa się *Przeglądowi Tygodniowemu* „z odosobnionym Wiślickim“ Świętochowskiego (który został redaktorem *Nowiny*). „Kryzys“ *Przeglądu Tygodniowego* — to w każdym razie czasy od 1877 r.

Jest w artykule Kotarbińskiego jeszcze coś ciekawego. Napisał on, że Chmielowski należał do grupy postępowej umiarkowanej. Nasuwa to domniemanie, że istniała grupa nieumiarkowana *młodych*. Domniemanie staje się pewnością po takim zeznaniu:

„Jak zawsze i wszędzie tak i w tym postępowym obozie wyodrębniły się niebawem dwie grupy: radykalna i umiarkowana. Organem pierwszej był *Przegląd Tygodniowy*, organem drugiej *Niwa*, *Opiekun Domowy*, przez jakiś czas *Przrodu* i *Przemysł*, a od r. 1876 *Ateneum*. Nie było tu właściwie większych różnic w pojęciach samych, ale istniały i to dość ważne w zapatrywaniach na sposób ich rozpowszechniania, na stopień jaskrawości w ich formułowaniu“.

Nazwisko świadka? Piotr Chmielowski. Gdzie świadek zeznał? W swojej monografii o *Józefie Ignacym Kraszewskim*, gdzie też opisał dokładnie „album pamiątkowe“.

Warto zbadać *Ateneum* od r. 1876! — tak myślę.

DCN

„STRZĘPY EPOPEI“

MELCHIOR WAŃKOWICZ: *Strzępy Epopei*. Wydanie trzecie, powiększone. Warszawa 1936. Tow. Wydawn. „Rój“.

Strzępy Epopei ukazują się obecnie w trzecim wydaniu i to samo już jest dowodem, że książka ta podbiła serca czytelników. Jest ona fragmentarycznym odzwierciedleniem walk z nieprzyjacielem i zmagai wewnętrznymi, wysiłków, nadziei i najboleśniejszych rozczarowań polskich sił zbrojnych, utworzonych w Rosji.

Trudno określić, do jakiego gatunku należy zaliczyć tę książkę — to nie jest ani beletrystyka, ani publicystyka, ani historia. Zaryskują definicję: to jest zbeletryzowana publicystyka historyczna. Nie ma tu żadnej fikcji literackiej, są żywe, bezpośrednie wspomnienia, zanotowane na gorąco i oddane z całą plastyką i barwnością rzeczy świeżej, tylko co przeżytej i nie obejrzonej jeszcze z tym chłodnym obiektywizmem, który daje dopiero perspektywę. *Strzępy Epopei* są cennym dokumentem psychologicznym, pozwalają nam bowiem wejść do dusz tych żołnierzy polskich w Rosji, którzy w obłąkanym tańcu wojny i rewolucji, pozabawieni busoli politycznej i ideowej, kierować się musieli w tamtym mroku jedynie światłem własnego instynktu.

Pokolenia zrodzone po wojnie nie odczuwają i nie rozumieją może tych uczuć, wahań, wzlotów, upadków, poświęceń i goryczy, od których aż kipi w książce Wańkowicza. Dla nich to będzie już tylko historia.

Ale my, współcześni autorowi, my, którzyśmy się z nim trękali niemal strzemiennie, dziś jeszcze każdym filmem odczuwamy wymowę tych kart, chwytamy każdy niuans i z tym samym wzruszeniem przeżywamy tragiczną noc z 21 na 22 maja 1918 r. w I Korpusie Wschodnim lub złowrogą odwrót pod naporem Budiennego. Dla nas to nie żadna zamglona oddalona historia, dla nas to żywa rzeczywistość, tak jeszcze bliska, że niemal wyczuwalna. Ludzie, którzy przemawiają z kart tej książki, to my sami i najbliżsi nasi towarzysze broni...

Ale nawet nakazawszy zamilknąć sentymentowi osobistych wspomnień żołnierskich, musimy z oficjalnego i bezstronnego punktu widzenia recenzenta stwierdzić, że prostota, bezpośredniość i szczerść stanowi nie tylko urok, ale i wartość tej książki. Jej walory psychiczne i historyczne podnosi przedmowa do I wydania pióra Wacława Sieroszewskiego, powtórzona przy trzeciej edycji. Analogie między niektórymi opisywanymi przez autora wypadkami a niechlubnymi faktami w naszej przeszłości w przedmowie tej występują jaskrawo.

Ze słowa wstępnego, którym to wydanie zaopatrzył sam autor, dowiadujemy się, że tom zawiera trzy nowe opowiadania, których w poprzednich edycjach nie było: *Związek Broni*, *Ostatnie Słowo* i *Rozkoszna Pala*.

Pierwsze z nich dotyczy dziejów utworzenia wśród żołnierzy polskich w Rosji konspiracyjnej organizacji wojskowej, mającej na celu wykonywanie zbrojnego czynu.

Ostatnie Słowo jest tekstem autentycznym przemówienia, jakie autor wygłosił przed sądem polowym I korpusu, przed którym stanął pod zarzutem przygotowywania buntu wojskowego przeciw małodusznyemu małomiarom dowództwa.

Uzupełnienie *Strzępów Epopei* tymi dwoma dodatkami było celowe i pożyteczne, dokumenty te dopomagają bowiem czytelnikowi w odtworzeniu całości obrazu i w odczuciu ówczesnej atmosfery. Trzeci dodatek nosi tytuł *Rozkoszna Pala* i jest reakcją na książkę gen. Dowbora Muśnickiego. Gatunek tej reakcji zdaje się być dostosowany do rodzaju podniety, która ją wywołała, ale nieprzejmnie się różni od klasy innych utworów zawartych w tym tomie.

Autor zresztą ma pełne poczucie tego zgrzytu, bo i w przedmowie i w przypisach dość gęsto się tłumaczy z motywów, które go skłoniły do zamieszczenia tej polemiki. Bodaż że szkoda, iż troska o poziom książki nie przeważała jednak...

ST. CZOSNOWSKI

WYSTAWA 1000 KSIĄŻEK

Z TECHNIKI
MECHANIKI
RZEMIOSŁA
BUDOWNICTWA
I KOMUNIKACJI

Wejście bezpłatne. Katalogi darmo. Jednocześnie sprzedajemy powieści i różne TANIĘ KSIĄŻKI po jednolitych cenach po 10, 20, 30, 40, 50, 75 i 95 groszy. Co miesiąc nowa seria książek.

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ
Plac Trzech Krzyży 8, w II-im podwórzu
Godziny otwarcia od 9-ej do 19-ej prócz świąt



SZTUKA I ANTENA



O „WESELU” NA ANTENIE



„Wesele” w opracowaniu Instytutu Reduty, pod kierunkiem J. Osterwy, z udziałem S. Jaracza, E. Kuniny, E. Solarskiego, J. Kossowskiej, A. Boguckiego, S. Hnydzińskiego, K. Wilamowskiego, Z. Zabczyńskiej, Z. Małyniczówny i innych. W głębi kierownik muzyczny St. Nawrocki

Po premierze radiowej *Wesela* St. Wyspiańskiego otrzymaliśmy list znakomitego krytyka, który poniżej drukujemy. Jest to garść cennych uwag, spisanych bezpośrednio po wysłuchaniu audycji. Red.

Wykonanie radiowe *Wesela* w d. 31.X.—2.XI. potwierdziło wiele z tych obaw, które zostały wyrażone w ankiecie *Pionu*. Najlepiej wypadł akt I, najmniej dramatyczny, w którym przez to słowo poetyckie stanowi najwłaśniejszą siłę. Słabiej wyszedł akt II, zupełnie słabo — akt III. Słowem, najslabiej wypadło to, co najbardziej dynamiczne, najbardziej złożone, co zarazem najbardziej wymaga pomocy optycznej.

Przedsięwzięcie było śmiałe. Jego powodzenie zależało od precyzyjności wypracowania strony akustycznej utworu. Popelniono jednak dwa błędy: z jednej strony dano trochę za dużo akustycznego „podkładu”, niebardzo czasem tłumaczącego się; z drugiej strony w recytowaniu słowa poetyckiego obrano drogę mylnej dyskrekcji: operowano *pianami*, które *à la longue* są męczące dla słuchacza, a — co gorsza — przy minimalnych mankamentach w odbiorze gubią całe wyrazy i zdania. Szczególnie pod tym względem przesadzili aktorzy grający widma, zwłaszcza widmo narzeczonego Marysi, a w początkach także i Stańczyk. W akcie III do zatarcia dramatyzmu szczególnie się przyczyniła zmatowana jakby ekspresja „Tłumacza”, który może raczej właśnie powinien był *grać* i swoją dramatycznością kompensować straty, sprawione przez brak sceny. Myślę, że wskazówkę orientacyjną mogłyby tu dać sztuki *teatralne*, w których tacy „tłumacze” występują. Najbliższą analogią spośród rzeczy, które widziałem, wydają mi się „narratoryzy” w sztuce A. Obeya *Le Viol de Lucrèce* w interpretacji zespołu paryskiego *La Compagnie des Quinze*. Otóż tam oboje narratorzy (*le Récitant i la Récitante*) byli pojęci jako dwie role spośród najczynniejszych, wyposazonych w najbardziej dramatyczne akcenty. Prawda, że role te specjalnie tak były napisane, tu zaś chodziło o adaptację utworu o innych założeniach. Czy jednak nie należało posunąć śmiałości dalej i taką rolę stworzyć, zamiast stać na stanowisku pietyzmu i operować prawie samym tylko tekstem Wyspiańskiego? I sam ten tekst zresztą winien był być bardziej dramatycznie wycieniowany. Jakże słabo np. wypadła w akcie III ważna informacja o kosie Czepca (scena XVIII: „Czepiec — w kożuchu, z wielką kosą w ręku”). W wielu miejscach aktu III słabo się też tłumaczyło następstwo osób (za mało były głosowo różniczkowane; nie wszystkie zresztą timbry i intonacje można dobrze pamiętać po 24-godzinnej pauzie).

Z poszczególnych ról Czepiec (Jaracz) i Wernyhora (Chmieliński) górowali nad innymi, i świetnie wyrażonym w głosie charakterem postaci i doskonałą czystością dykcji. Słaby był (zwłaszcza w akcie III) Gospodarz. Poeta (zwłaszcza w akcie II) grał za mało dramatycznie, a w akcie III (w końcu sc. XVI) zgubił zupełnie (znowu przez mylną dyskrekcję, która w radio zupełnie inny

musi mieć wyraz) liryczną emfazę słów „A to Polska właśnie”.

Bardzo niedobrze u niektórych aktorów było z wierszem. Zosia i Hanczka w a. I, a Dziennikarz w a. II mówili czasami zupełnie jakby prozą (wysłuchałem tych dwóch aktów bez tekstu przed oczyma, więc nie mogę wskazać przykładów, ale były całe ustępy, które sprawiły wrażenie prozaicznych wstawek). W akcie III, którego słuchałem z księżką w rękach, odnotowałem cały szereg grubych usterek z zakresu sztuki czytania wiersza. Poeta np. (w sc. XIX) wołał: „Wicież, kto *my!*?” z akcentem na „*my*”, chociaż rym „*niewido-*

BLASKI I CIENIE OSTATNICH TYGODNI

Koncerty chopinowskie stanowią w Radiu pozycję już tradycyjną. Wszakże dotychczasowa forma ich nadawania budziła niejedną wątpliwość. Konieczność wstępu słownego i komentarza jest tu oczywista; mimo wszechświatową sławę wielkiego muzyka, są w Polsce ludzie, którym trzeba dużo o nim powiedzieć, a ci nawet, którzy mniemają, że wiedzą o Chopinie „to, co trzeba”, też niejednego z pożytkiem mogą się dowiedzieć... W ubiegłym roku rozwiązano sprawę, powierzając wstępy wybitnemu muzykologowi profesorowi Jachimeckiemu. Ale, jak wiadomo, uczeni i specjaliści przemawiający w Radio, starając się „dogodzić” słuchaczom, popularyzują swą wiedzę w sposób nie zawsze fortunny, wprowadzając elementy improwizacji poetyckiej nie najwyższego gatunku. Rok bieżący wnosi pod tym względem znaczną poprawę. Opracowanie wstępu i komentarza powierzono literatom, i to tym, którzy nie tylko „lubią muzykę” i są z nią „życi”, ale którzy się na niej znają. Tak więc w tegorocznym cyklu koncertów chopinowskich jako pierwszy przemówił Juliusz Kaden-Bandrowski. Nie był to komentarz wprowadzający, raczej wprowadzający patetyczną, co się w zupełności tłumaczy tym, że chodziło o zainaugurowanie sezonu chopinowskiego. Te brawurowe akordy stylu były niejako zapowiedzią, że będziemy mieli do czynienia z interpretacją Chopina swobodną, uczuciową i w najlepszym tego słowa znaczeniu popularną.

Z zupełnie innymi komentarzem wystąpił w następnej audycji Witold Hulewicz. Staranne opracowanie materiału biograficznego i muzykologicznego połączono nader umiejętnie z muzyką Chopina, która w tej pierwszej audycji poświęconej utworom młodzieńczym była pewnego rodzaju ilustracją opowieści o Chopinie. Nie uważam, aby z tej okazji można mówić o przewadze słowa nad dźwiękiem. Boć mieliśmy tu do czynienia z Chopinem kielkującym dopiero, którego trzeba było pokazać i objaśnić. Prelegent odczytał go pietyzmem, ale pietyzmem dyskretnym, nie uciekającym się do bombastu, owszem podkreślającym nutę uczuciową wielką pieczołowitością, która wyraziła się zarówno w głęboko inteligentnej, podsytej gruntowną wiedzą interpretacją muzyki Cho-

my” w wierszu następnym wskazuje akcent właściwy. W sc. XXII Gospodarz zamiast:

— „To powietrza ranny wiew”

mówił:

— „Ach, to powietrza ranny wiew”.

Pan młody nieco dalej, zamiast:

— „Na niebie ruch”

mówił:

— „W niebie ruch” — i t. p. i t. p.

Osobna uwaga należy się pani, grającej Chochola. Najniepotrzebniej dodawała chłopszczyzny do tekstu Wyspiańskiego, mówiąc „*śnur*”, gdy w tekście jest „*sznur*” (i do tego „*sznura*” dawności wszyscy przywykli). Szczególnie jednak nieznośna jest jej maniera emfaticznego wybijania wszystkich „*czapkę*” i t. p.), nawet w „*się*”, w którym „*ę*” jest czysto pisowniane.

Za długie były niektóre pauzy. Za długo ciągnął się wstępny opis dekoracji (czy nie można go było obciąć, skoro obcięciu uległa np. cała rola Nosa?).

Mimo jednak tych wszystkich mankamentów całość była wysoce ciekawa i myślę, że można ją uważać za datę w naszej radiofonii literackiej. Po tylu wykrawkach narzeczcie wielkie dzieło, któremu dano swobodnie przemawiać. I słuchało go się bez znużenia, a jeśli chodzi o akt I, z najwyższą nawet ciekawością i wzruszeniem. Bo nie długość utworu nuży, ale jakość. Znany jest epigramat francuski:

As-tu lu mon distique? On le cite partout.

— Mon ami, je n'ai pu le lire jusqu'au bout.

Są fabrykaty radiowe, które nudzą już w trzeciej minucie. *Wesele* nie męczyło i w trzecim kwadransie. Wskazuje ono bodaj drogę dla przyszłości. I kto wie, czy Wyspiański, w którego dziełach tyle jest elementu muzycznego, nie jest właśnie szczególnie bogatą skarbnicą dla teatru radiowego? Trzeba by jednak zwrócić uwagę raczej na te utwory, w których jest mniejszy personel i nie ma wielkich scen zbiorowych.

Spełniam, jak mogę, wezwanie Panów, doraźnie spisując wrażenia.

WACŁAW BOROWY

pina, jak w stylu powściągliwym, niemal surowym i przez to właśnie dającym szlachetną ramę stosunkowi subiektywnemu prelegenta do tematu. Audycja Hulewicza swymi wysokimi zaletami skłania nas do wyrażenia życzenia, aby jej styl i podstawy systematyczne zostały utrzymane nadal jako obowiązujące dla następnych prelegentów. Byłby to bowiem nielada zawód dla słuchaczy, gdyby im odebrano możliwość słuchania dalszych prelekcji o rozwoju wielkiej indywidualności Chopina.

Rozpoczął się sezon słuchowisk. Jest to punkt najbardziej zajmujący, ale też nastroczający największą trudności. Walka o właściwy typ słuchowiska, o stworzenie kryteriów „dobra” i „zła” w tym zakresie sztuki radiowej nie dobiega bynajmniej końca. Mamy do zanotowania dwie pozycje: jedna to słuchowisko p. Wielopolskiej *Magia liczb*, druga to słuchowisko eksperymentalne Bohdziewicza na temat jesieni.

Słuchowisko p. Wielopolskiej jest skończenie banalne. Jest to niejako wzorowe słuchowisko przeciętne, które dlatego właśnie zjednać sobie może licznych przyjaciół. Eksperymentalista nie ma tam za grosz, przynajmniej jeśli chodzi o treść. Ze strony radiowej nowość polega na tym, że rozmowa między dwiema osobami toczy się cały czas przez telefon. Aż dziw bierze, że utalentowana publicystka nie zdobyła się tu na żaden wysiłek literacki. Odzwierciedla to stosunek naszych literatów do radia. Rozumują oni widocznie, że skoro radio dociera wszędzie, przeto nie wymaga specjalnych wysiłków twórczych i wystarczy dać rzecz jako tako skleconą, trafiającą w popularne nuty uczuciowe, aby zyskać sukces. Rozmowa to jest — *niestety!* — słusze. *Niestety*, bo w ten sposób pogłębia się zły gust i gra się na niższej. Jeśli miałbym do wyboru między płaskim skeczem humorystycznym a zgrabnym szablonikiem w rodzaju *Magii liczb*, stanowczo głosowałbym za płaskim skeczem. Amatorzy łatwego dowcipu będą pękali ze śmiechu, ludzie o wybredniejszym smaku po prostu zamkną głośnik — ale nikt płaskiego kawalarstwa nie weźmie za objaw wysokiej kultury literackiej. Tymczasem słuchowisko takie jak *Magia liczb* dzięki swojej gładkości, ekliwemu sma-

kowi niejednego może utwierdzić w przekonaniu, że taka właśnie jest dobra, „wytworna” literatura. Radio jest rozsiewaczem sugestij w najszerszych masach społecznych, i dlatego musimy ciągle pamiętać o efektach wychowawczo-kulturalnych, które wywiera. *Magia liczb* osnuta jest nie tylko na pomysły banalnym (szablonowa rozmowa znużonego pana ze znużoną panią o „miłości”), ale ma coś gorszego w sobie, ma złą, fałszywą atmosferę. Przykry i irytujący jest kontrast między realnym tłem społecznym a snobistycznymi rozmówkami tych dwojga z kiepską poetyzującą walkoniów. I to fatalne akcentowanie *klasy* efektami z repertuaru sklepowej galanterii: ostre pazurki, gryfonik, corso, bukiety kwiatów, chart itd. Język, łączący pretensjonalność z niedbalstwem: obok „*łańcucha*, który się o pani przegubi owinął” — „*niczego nie wiem*”, „*nazywam się Ewa*”. Jeżeli rzecz skąpana w atmosferze burżujskiego *dolce far niente*, zdolna ze statecznego człowieka zrobić choćby tymczasowego marxistę — podoba się, to bardzo źle! Temu właśnie należy się przeciwstawić!

Inny zupełnie charakter, szlachetniejszy i ciekawszy, nosi eksperyment Bohdziewicza. Przede wszystkim uznać należy pracę, którą autor montażu włożył w wyszukanie i zharmonizowanie znacznej ilości inteligentnie wybranych cytat z autorów polskich i obcych na temat jesieni. Już sam ten wybór przemawia za montażem. Ilustracja muzyczna na ogół udana, jakkolwiek wskutek przesadnej długości słuchowiska (45 minut!) staje się nużąca, niemal natrętna. Odniosłem wrażenie, że w pewnym momencie p. Bohdziewicz przeląkł się, iż jego montaż stanie się po prostu czymś w rodzaju antologii poetyckiej wygłoszonej przy akompaniamencie muzyki. I być może dlatego postanowił wprowadzić pewien zgrzyt do poetyckiej całości, cytując w pewnym momencie materiały statystyczne, przytaczając dane dotyczące bezrobocia i nędzy ludzi marznących na ścieżce jesiennej. Teoretycznie pomysł nie jest zły; takie zderzenie się nastawień (kontemplacyjno-poetyckiego z praktycznym i obywatelskim) mogło być dobre i ciekawe. Wszakże o powodzeniu tego zestawienia decydują momenty ogromnie subtelne, prawie nieuchwytnie: niewłaściwy porządek słów, zła intonacja, drobne przesunięcie akcentu mogą tu wszystko popsuć. Wyobrażam sobie, że takie przejście można było osiągnąć, ale wien na pewno, że w montażu p. Bohdziewicza osiągnięte ono nie zostało. Zamiast ostrego, bodaj brutalnego, ale ciekawego kontrastu odniosło się tylko wrażenie pomieszania stylów; zamiast efektu grozy, śmiałej inwencji twórczej — efekt niemal humorystyczny. Humorystyczny — naturalnie tylko w pierwszej chwili. Dalej było już znacznie gorzej. I tu znowu stanowisko społeczne dopomina się o swoje prawa. Bezrobocie, nędza, głód, opuszczenie ludzkie — są to sprawy wielkie, godne nie tylko zainteresowania, ale wołające donośnym głosem o zmobilizowanie wszystkich naszych sił ku zbudowaniu tamy przeciw naporowi nędzy. Ale właśnie dlatego, że tak jest, nie należy apelować do tchliwości, nie należy poddawać się efektom najłatwiejszym malowania niedoli ludzkiej, nie należy wogóle wpadać w rosyjski *zaunywny* ton, który jest przekreśleniem postawy aktywnej i twórczej wobec niedoli społecznej. Nie chcemy delektować się nią dla masochistycznej rozkoszy wyciskania sobie łez; nędza jest wrogiem, któremu rzucamy rękawicę. Cenię wysoko pracę inscenizacyjną p. Bohdziewicza, znam go jako człowieka nie tylko inteligentnego, ale twórczego, pełnego rzetelności i śmiałych pomysłów. I dlatego z tym większym naciskiem pragnę podkreślić rozczarowanie, którego doznałem, słuchając tych niekończących się lamentów powiązanych niefortunnie z arcydziełami poezji.

Jeśli o poezji mowa, nie sposób pominąć nadania z płyty deklamacji poematu Rabin-drana Thagore. Poeta hinduski przemawiał w rodzimym języku. Nie wiem nawet, czy znam ten poemat z przekładu polskiego lub innego. Być może, nie znam go wcale. Słuchając tej recytacji w języku obcym, całkowicie niezrozumiałym, mając jako jedyną wskazówkę to, że poemat opiewa smutek jesieni, przekonałem się dopiero, jak wielka jest waga i moc czystego słowa, ujętego w pełen inwencji rytm, operującego z mechaniczną niemal pedanterią iloczasem. Jak te formalne czyste operacje pełne są najgłębszej treści wzruszeniowej! Dla wszystkich, którzy kochają poezję, była to na pewno radosna rewelacja.

J. E. SKIŃSKI

TEATR

TEATR LETNI: *Złoty wieniec*, komedia w 3 aktach, napisali CHRISTINE JOEPLADE i SEWELL STOKES, przełożył P. Hulka-Laskowski.

Ta sztuka ma wady akuratnie tam, gdzie ma zalety. Wydaje się, jakby ci, co ją wspólnie napisali, nie porozumieli się z sobą dostatecznie co do swych zamiarów i jeden ciągnął w jedną, drugi w drugą stronę. Jeden (lub jedna, pani Christine, chciała napisać rzecz „głębszą“, a uparty p. Stokes chciał tylko sukcesu teatralnego i z głębokości p. Krystyny robił przeboje.

Zapowiada się to dobrze i pierwszy akt jest wspaniały. Londyn. Uboga rodzina Boltonów: matka praczka, pochylona nad balią, syn bezrobotny monter, córka pracuje w magazynie kapeluszy lecz marzy o karierze filmowej i o użyciu życia, ojciec pijaczyna boży. Myślimy sobie zrazu: źle, to będzie znowu coś proletariackiego, ciągnąc z nas będą bebecchy współczucia. Ale oto niespodzianka: pojawiają się dwaj panowie od filmu i angażują — nie córkę lecz matkę! Bo matka Bolton to areymatka, to Atlas rodziny, pracownia, rządna, stateczna, poprzestająca na małym, dba o rygor domowy, pilnuje córki i syna, aby się nie rozlaźdzaczyli, upomina ojca, nie marzy o rzeczach niedoścignionych, — taki mój los, tu przy balii stoję i stać będę. W rzeczywistości nie jest tak dobrze, bo matka Bolton snadź ani córki ani syna dobrze nie wychowała, wciąż tylko przechwala się przed nami, jak to ona troszczy się o rodzinę. Autorzy zapragnęli zrehabilitować panią Dulska: gdy nasza polska Dulska wyczerpała swoje matczyne i domowe brewerie ze zniecierpliwieniem, z nerwowością, i widać, że to głównie „bida“ galicyjska robi z niej taką megere, — matka Boltonowa jest to Dulska uświadomiona i zarozumiała.

Ale nie wyprzedzajmy wypadków. Otóż teraz jest ciekawa scena, jak to córka zardrości matkę i jak matka nie daje się wytrącić z równowagi. Przyjmuje ofertę filmiarzy, żeby zagrać główną rolę w filmie *Matka*, do którego nadaje się jak ulał, ale ani nie wpada w megalomanię, ani nie przejmując się tym, że została gwiazdą. Podczas gdy syn, córka, ojciec w oczekiwaniu kokosów matki wykołują się, ona jest spokojna i sceptyczna, zarobione pieniądze chowa na czarną godzinę, im t. j. rodzinie nie daje nic. aby się nie zdemoralizowali, w atelier filmowym myśli najwięcej o tym, co się tam dzieje w jej atelier pralnianym, i żąda od swych impresariów, aby jej zapewnił powrót na dawne miejsce, do dawnej roboty, bo — powiada przedowcipnie: „trzeba się trzymać swego, przynajmniej się wie, co się gra“. Wzrowa, morowa baba, wodzem jej być, albo ministrem, albo na tronie, a nie przy balii stać.

Taką sobie wymyśliła pani Krystyna Joep, zameżna Slade. Kobiety zapobiegliwe, w starszym wieku, są dziś modne w literaturze: że wopomnę tego rodzaju tropy w *Ziemi Elżbiety Gojawiczyńskiej*, w *Wędrówkach Joanny Zarembiny*. Matriarchat unosi się w powietrzu — czuwajcie, mężczyźni, zaprzęście wojen, pogódźcie się, załatajcie rany społeczne, bo inaczej nie żółty Chinczyk, lecz biała kobieta przyjdzie, rzadzić będzie, wyjmie wam świat z waszej nieudolnej ręki i sama go zorganizuje, ona, co organizuje kuchnię, spiżarnię i piwnicę.

Gdybym jeszcze pisał w dzienniku socjalistycznym, napisałbym takie *résumé* z tej sztuki — i to nie pozhawione sensu: Jest to sztuka rezygnacyjna, zapłacona przez fabrykantów, aby uczono proletariat i drobnych ludzi, że szewc ma pilnować kopyta, nie pchać się wysoko, że dom własny (*home*), ognisko, rodzina ważniejsze są nade wszystko; pieniądze, wielkie zarobki, gwiazdorstwa to furda, błaga, zawracanie głowy, a czyste sumienie, czysty fartuch, poczucie spełnionego obowiązku to rzecz główna. Matka Bolton to lamistrak *a priori*, to wrodzona kontrrewolucjonistka, to sojusznik wyszukiwaczy na łonie proletariatu, to głupota i filisterstwo społeczne. szantażujące sztańdarem rodziny i cnót domowych. Powiedzieć fabrykantki filozof Schopenhauer, że nie o to chodzi, kim się jest, lecz jakim się jest, że w życiu jak w teatrze: nawet żebrak może odegrać swą rolę genialnie. lepiej niż ktoś, komu przydzielono rolę króla. Taką mistrzynią od roli praczki ma być Boltonka w wizji pani Krystyny.

Ciekawe to będzie ze stanowiska historyczno-literackiego, że taka stara ideologia wyhodowała się w Anglii — czy może zawiodła do niej? Ale przecież i Dickens znał i sławił takich zadolonych z siebie i swego losu szaraków. Świadomie jednak los szarakowy kulturowała w dramacie dawna Austria: w sztukach Raimunda (np. *Rozrzutnik*), w arcytworze filisterstwa *Sen życiem Grillparzera*. Ale gdy sobie przypominam — ileż to bajek było na ten temat: poprzestań na swoim! I przed kilku laty teatr Ateneum wystawił taką samą amerykańską sztukę

Bronx-Express, — ktoś śni, że zrobił majątek, stał się milionerem, lecz źle mu z tym było, nieszczęśliwie, — chwala Bogu zbudził się szaraczkiem!

Myliłby się jednak, kto by po tych moich złośliwych uwagach przypuszczał, że sztuka nie jest interesująca. Właśnie ta mieszanina, to wahanie się między stanowiskami autorskimi: czy robić matkę Bolton tylko jako specjalny ciekawy charakter, czy jako oryginalny kaligrafii życiowej — wytwarza oryginalne sceny. Wśród tych dobrych chęci autorskich nie na ostatku będzie wątek z I aktu, polegający na tym, że matka Bolton w dodatku — dobrze gra samą siebie! — ma talent aktorski! Być dobrą matką a grać dobrą matkę — czy to się z sobą pokrywa? Czy ona dlatego gra dobrze tę rolę, że gra swoją prawdę? A może będziemy przed jej w to uwierzyli, że zła matka gra dobrze dobrą matkę, podobnie jak Rousseau, sam zły ojciec, napisał rewelacyjne dzieło pedagogiczne? Rozpatrzenie poetyckie tego problemu godne byłoby osobnej sztuki. Pani Krystyna nieco go spartaczyla; dla niej ważniejsze było co innego: czy artysta może mieć życie prywatne? (stara bzduca).

Napisano to jest energicznie i z życiem dramatycznym, ale i naiwności jest sporo. Np. filmiarze niezadowoleni są, że matka Bolton myśli wciąż o rodzinie, że na widok szczytów, kuba z węglem itp. nachodzą ją ciagotki do dawnych zajęć. Filmiarze boją się: będzie skandal, gdy się publiczność dowie o tych „namiętnościach“ nowej gwiazdy. Ale przeciwnie! W reklamie dalałoby się i to wyzyskać, publiczność byłaby wzruszona i zbudowana. A pani Bolton mogłaby założyć sobie wielki warsztat pralniany z napisem: tu pierze pani B., znakomita odtwórczyni roli itd.

Matkę Boltonową gra pani Wysocka i robi ze sztuki główną atrakcję bieżącego sezonu teatralnego. Publiczność pełna jest zachwytu i uznania, po dwóch pierwszych aktach wywołuje ją kilkakrotnie i cieszy się, że tak świetnie gwiazdy ma nasz teatr. Przy tym część publiczności nie rozróżnia: czy bije brawa dlatego, że pani Wysocka tak dobrze gra, czy że pani Bolton jest taka dzielna. Ja jednak mam co do tej gry pewne zastrzeżenia. Wysocka gra zbyt miękko i zbyt inteligentnie, jakby się bała uczynić Boltonową szorstkim habszylem. Wysocka gra tak, jak autorzy napisali, nie zdradza autora, nie wpisuje nowej sztuki w sztukę faktycznie napisaną. Ale może efektywniejsza byłaby Boltonowa także odrobinę ordynarna, zamaszta, jedzowała — trzeba było studiować kumoszki z przedmieścia co do spadku zdań, co do rytmu w mówieniu itp. Wysocka swą znakomitą grą uwydatniła jeszcze bardziej zasadniczy fałsz sztuki. Podobnież i p. Laskowski swym przekładem, gdzie pani Bolton mówi tak: „mnie ogarnęła trwoga“, „tego nie można powiedzieć, to się czuje“ i t. p.

KAROL IRZYKOWSKI

*

O TEATRZYKU „BAJ”

Przeglądając *Pion* z ubiegłych tygodni, natrafiłam w Nr. 40 z dn. 3. X. 36. na artykuł o teatrze objazdowym dla dzieci. Autor (czy autorka), podpisany A. C., stwierdza bez żadnych zastrzeżeń, że ojczyznę teatru objazdowego dla dzieci jest Rosja Sowiecka, po czym zawiadamia równie bezapelacyjnie, że polski teatrzyk objazdowy dla dzieci powstał z tego sowieckiego wzoru. Co więcej, wspomniawszy, że teatr objazdowy *Plomyka i Plomyzka* „rodowód swój czerpie z popularnego teatrzyku kukielkowego „Baj“ — p. A. C. dodaje, że „Baj“ „w metodach swej pracy oparł się właśnie na osiągnięciach praktycznych pedagogów-teatrologów sowieckich“.

Okoliczności zrzędziły, że znane mi są nieco bliżej początki teatru kukielkowego „Baj“ (r. 1928), przy którego powstaniu tak wielkie, a niedocenione zasługi położyła Maria Kownacka, autorka jedynej polskiej książki o teatrzyku kukielki i autorka najpopularniejszych sztuk tego teatru. Otóż, o ile mi wiadomo, i o ile mogłam wnosić z przedstawień teatrzyku „Baj“, nie potrzebował on bynajmniej szukać wzorów w Sowietach. Jest bowiem całkowicie wyprowadzony z polskiego teatru kukielki, czyli po prostu mówiąc z odwiecznej szopki. Że wędrowność, czyli jak się dziś mówi — objazdowość teatrów nie jest wymysłem Sowietów i że teatry wędrowne istniały (jako właśnie pierwotna forma widowiskowa) w całej prawie Europie wtedy, kiedy w Rosji się jeszcze wogóle o teatrach nie śniło, o tym — nie wątpię — p. A. C. dobrze wie. Idzie mu więc tylko zapewne o pierwszeństwo zastosowania tej objazdowości na szeroka skalę do teatru dla dzieci. I tu jednakże teatr „Baj“, który nie od dziś jest objazdowym, nie potrzebował szukać wzoru w Sowietach. Bo właśnie prototyp „Baja“ — szopka — był nade wszystko teatrem wędrownym dla dzieci. I w dodatku teatrem, również realizowa-

nym przez dzieci. Przecież szopkę i urządziłi przeważnie i nosili i świetnie „pokazywali“ niedorośli chłopcy. Nie potrzebują dodawać i przypominać znanego faktu, że szopka ludowa wywarła wogóle wielki wpływ na teatr w Polsce. Że wytworzyła specjalny i nieznaną zdaje się gdzie indziej typ jasełkowej sętry („Zielony halonik“, „Szopki polityczne“) i zaważyła na formie wielu utworów takich jak *Dziady*, *Wesele*, *Róża* lub *Sen Kruszweskiej*. Dodam natomiast, że i charakter „żywych“ widowisk teatru *Plomyka i Plomyzka* wywieść można z ludowych widowisk obrzędowych („Śmierć i Herod“, „Turon“, „Niedźwiedź“, „Gaik“), które nadto, acz na małej przestrzeni, były również wędrowne. Nie zaprzeczam, że teatr nowoczesny zawdzięcza wiele Rosji (Stanisławski) i że może także na przyszłość jej to lub owo zawdzięczać. Ale dla powierzchownej „sowiectomani“ nie odbierajmy Polsce jej własnych starych tradycji kulturalnych, które jeśli z czym związać można, to z dziejami teatru i kukielkowego i „żywego“ zachodniej Europy.

W dalszym ciągu, mówiąc o bajce Marii Kownackiej, dawanej właśnie w „Baju“, p. A. C. popelnia tak dziwne błędy logiczne, że tej części jego artykułku niepodobna czytać bez zniecierpliwienia. Autor powiada, że „całość tego widowiska (M. Kownackiej) powinna stać się wzorem dla autorów i reżyserów przyszłych sztuk dla najmłodszych widzów“. Następne zdanie jeszcze potęguje tę już superlatywną pochwałę. Zrazu potem dowiadujemy się jednak, że „gorzej przedstawia się tekst wiersza pseudoludowy i prosty (?) a właściwie banalny i nużący jednostajnym rytmem“. Moje zdanie o wierszu bajek M. Kownackiej jest inne, a w tym, co jej krytykowi wydało się „jednostajnym rytmem“, widzę tylko trafne zestrojenie tego rytmu z pewną monotonią ruchów kukielki. Nie o to jednak idzie. Tylko jak można o tej samej sztuce napisać, że jest wzorem dla wszystkich przyszłych sztuk, i jednocześnie twierdzić, że jej wiersz jest pseudoludowy? Pseudoludowość, jak wszelki fałsz, jest cechą dyskwalifikującą w czambuł każdy utwór. To co jest pseudoludowe, nie może być pod żadnym względem wartościowe. Zatem prawdą jest alho, że sztuka Kownackiej może być wzorem dla innych, czyli jest bardzo dobra, albo, że jest pseudoludowa, czyli — nie wiele warta. Obie te rzeczy w żaden sposób prawdą jednocześnie być nie mogą. Pseudoludowość nie jest czymś, co można uprawiać hezkarnie. Fałsz formy świadczy bowiem o fałszywym podejściu do treści. Kownacka nie uprawia też pseudoludowości, nie sili się nawet na pisanie gwarą. Zużytkowuje tylko motywy ludowe.

Również pojęć „prosty“ i „banalny“ nie można identyfikować, choćby się nawet osłabiło to słówkiem „a właściwie“. Prostota jest jedną z najwyższych zalet utworu sztuki i wynika z pewnej bardzo wartościowej postawy duchowej. Banalność zaś jest wynikiem właśnie braku wszelkiej samodzielnej postawy, skąd płynie konieczność posługiwania się liczmanami.

Jeszcze dziwniej wygląda lekkomyślne twierdzenie, że „prymitywne kukielki „Baja“ rywalizuje niemal swym groteskowym charakterem z „Teatro dei piccoli“. Znowu dwie wyłączone się sprzeczności. Kukielki „Baja“ są w istocie artystycznym prymitywem. Ale właśnie dlatego nie mogą one mieć nawet zamiaru rywalizowania z „Teatro dei piccoli“, gdzie marionetka nie jest prymitywem, lecz skomplikowaną maszyną, naśladowającą „do złudzenia“ człowieka. Strzela z białą, gra na fortepianie i dlabie w nosie „jak żywa“.

I jeszcze jedno. Pan A. C. zastanawia się, czy celowe jest pokazywanie dzieciom folkloru. Czy nie „celowsze“ (!) byłoby „zainteresowanie ich zagadnieniami bardziej obcy, choćby np. techniką, miastem i t. p.“ Przypuszczam, że teatr dla dzieci uwzględnia w dalszym swym rozwoju różne dziedziny życia, więc i miasto. Choć dotychczas działa on zdaje się akurat głównie w miastach, gdzie właśnie folklor wiejski jest dla dzieci tym „zagadnieniem nieznanym“. Co do techniki jednak miałabym pewne zastrzeżenia. Technika dzieci nasze interesują się samorzutnie i aż nadto. W tramwajach spotykam nieraz malców, rozprawiających o typach samochodów, samolotów i karabinów ze znanstwem, do którego nam dorosłym daleko. Natomiast nigdy jeszcze nie „podślucałam“ rozmowy o zagadnieniach rzeczywistej kultury. Może więc dobrze będzie, jeśli dzieci w teatrze swym znajdą przeciwwagę tej monomanii technicznej dzisiejszych czasów. Jeśli dowiedzą się czegoś nie tylko o tryumfalnej technice stosowania gazów trujących i duszących czy tanków (które wyrabia się już nawet jako zabawki dla czteroletnich baków), lecz i o kulturze ludowej, z której jedynie wyprowadzić możemy naszą nową kulturę narodową. Albo też nie będziemy jej mieli wcale.

Na zakończenie przeproszam, że zabieram głos w sprawie teatrów, na której nie znam się dostatecznie. Skoro jednak u nas

weszło już w zwyczaj, że dyskutuje się tylko w „obronie własnej“, musi czasem ktoś, choćby nie całkiem powołany, odezwać się w obronie spraw, nie dotyczących bezpośrednio jego zainteresowań.

MARJA DĄBROWSKA

I D E E

IRENA KRZYWICKA: *Co odpowiadać dorosłym na drażliwe pytania?* Warszawa 1936. „Rój“.

Pani Krzywicka — to *enfant terrible* naszej literatury ostatniej doby. Jest nim nie tylko z nominacji zagrożonego świętoszka, ale przede wszystkim z własnego powołania. Mówi, lubi mówić, i z wewnętrznego imperatywu musi mówić głośno właśnie o tym, o czym albo wcale się u nas mówić nie chce, albo — ostatecznie szepce się na ucho.

Zarzutu braku śmiałości w stawianiu kropek nad i lub w poruszaniu tematów dotąd przeważnie starannie omijanych, zwłaszcza przez pióra kobiece, nigdy p. Krzywickiej nie można było stawiać. Ostatnia jej książka jednak *Co odpowiadać dorosłym na drażliwe pytania?* wbrew tytułowi, który zdaje się zapowiadać sensacje, nie przynosi dreszczyków, nie wykrzykuje na głos żadnych sekretów kobiecy ani sekretów kocicy i nową herezją nie opatuje poczywłych burzujów. Książka ta jest zbiorem kilkudziesięciu artykułów, które usiłują dać odpowiedź na pytania wciąż jeszcze uważane przez ogół za drażliwe. W swoim czasie czytaliśmy już te artykuły w pismach literackich.

Utwory te zrodziły się z lektury, jakby na marginesie pewnych książek lub z wywiadów z niektórymi pisarzami. Nie są to jednak recenzje o książkach, ani fachowe krytyki, lecz po prostu pewne książki stają się bodźcem do wypowiedzenia się o poruszanych w nich zagadnieniach, zachęcają do torowania dróg pewnym ideom, ułatwiają kryształowanie się własnych koncepcji i w tych dygresjach można niekiedy zapędzić się tak daleko, że po drodze zgubi się i omawianą książkę i autora.

Takimi odskoczniami stały się dla p. Krzywickiej utwory Agnes Smedley, Amers Küllera, d-ra Sapere Ausus, Bertranda Russella (wreszcie nazwisko, które dla nas nie jest nieznaną wielkością!), Richarda Hughesa i wielu, wielu innych, a z polskich autorów Dunin-Kozickiej, Uniłowskiego, Tuwima, Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i Boya-Zeleńskiego.

Oprócz tego parę wywiadów: z Juliuszem Romainsem, Barbussem, Duhamellem podczas jego niefortunnej wizyty w Polsce, wreszcie szkice o pisarzach niemieckich, poznanych na emigracji w Paryżu.

Pod względem tematu książka rozpada się na kilka grup artykułów — o zagadnieniach kobiecych, o wychowaniu i dzieciach, wywiady z pisarzami francuskimi (wywiady jak zwykle pośpieszne, nerwowe, ogólnikowe), dalej o stosunku emigracyjnych pisarzy niemieckich do współczesnej rzeczywistości w Niemczech i wreszcie na zakończenie o kilku pisarzach polskich.

Te formalne i jakby bibliograficzne raczej informacje o książce p. Krzywickiej nie mówią czytelnikowi, jaką treść znajdzie w jej rozprawkach. Trudno omawiać z osobna każdy z dwudziestu kilku szkiców, zawartych w tomie, ale jest między nimi pewna więź, która nadaje całemu tomowi zdecydowany charakter.

Tę więź stwarza bojowa postawa autorki wobec kardynalnych zagadnień społecznych, moralnych i etycznych, w sprawach miłości, wychowania, wojny i pokoju, powojennego kryzysu kulturalnego i psychicznego i t. d. Jeśli bowiem na początku napisałem, że książka p. Krzywickiej nie zawiera żadnej nowej, oryginalnej herezji, to z tego wcale nie wynika, abyśmy w tym tomie w ogóle nie poznawali przekornego *enfant terrible*. Poznajemy je przede wszystkim w samym dobrze tematach, książek i autorów, którzy się interesuje, a zwłaszcza w tej pasji, z jaką bezkompromisowo demaskuje całą obłudę, jaka ciąży na stosunkach ludzkich. „Enfantteribilizm“ nie jest bowiem niczym innym, jak wylaniem się spod kanonów obłudy.

Nie musimy się godzić z każdym poglądem p. Krzywickiej, ale mamy cały szacunek dla tej namiętności, z jaką walczy o swoje prawdy i z jaką usiłuje odelgiwać zaklamane po uszy nasze życie.

STANISŁAW CZOSNOWSKI

INFORMACJA PRASOWA POLSKA

Jedynie od lat 15-tych w Polsce biuro kontroli prasowej, widzi w prasie, czyta i wycina z niej wszystko, co interesuje jej abonentów.

Adres biura „Informacji Prasowej Polskiej“: Warszawa, Bracka 5, w lokalu Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich (tel. 9.41.53).

KRONIKA

WIECZORY DYSKUSYJNE W P. A. L.

P. A. L. ma szczęście do dobrych wieczorów dyskusyjnych, — o ile nie chodzi o literaturę w ścisłym tego słowa znaczeniu. A spośród dobrych wieczorów najlepsze były wieczory filozoficzne: profesorów Kotarbińskiego i Ingardena. Bo też to są wykładowcy pierwszorzędni. Nie prelegenci, czytający skrypt, lecz wykładowcy, na których pracę myśli i formułowania myśli widać niejako żywcem.

Kotarbiński, wąska szlachetna głowa z dużym wąsem, lekko pochylająca się na wysokości szyi w bok w chwilach namysłu, mówi siedząc, mówi cyzelując zdania; precyzyjne słowa niesłychane, jasność, przystępność. Mówił nam piękne rzeczy o „teorii walki”. Ale to już dość dawno temu, — jednak pamięć postaci, intonacji, wytwornej atmosfery intelektualnej pozostaje.

Świeże wspomnienia mamy po Ingardenie. Roman Ingarden, uczeń niemieckiego fenomenalnego Husserla, przeszczepia tę filozofię na grunt polski. Nauca we Lwowie. Kto nie jest w Warszawie, temu trudno o większy rezonans. A jednak powodzenie Ingardena i jego nauki rośnie. Jego duże dzieło *Das literarische Kunstwerk, eine Untersuchung aus dem Grenzgebiet der Ontologie, Logik und Literaturwissenschaft* wydane w r. 1931 w Halle an der Saale czeka wydania polskiego, czeka i chyba się doczeka, bo nie utonęło, bo po cichu i powoli wywiera wpływ, zapładnia: świeżo prof. Kridl w swej głośniej książce *Wstęp do badań nad dziełem literackim* w ujęciu dzieła literackiego jako osobnego, samostanowiącego fenomenu oparł się w znacznej mierze na Ingardenie.

Ingardena słyszeliśmy rok temu w Związku Zawodowym Literatów, gdzie mówił o strukturze dzieła literackiego. Wykład nie był efektowny; Ingarden ostrzeżony zawsza, mówił zbyt popularnie, przy tym posiadano go na kanapie, na której podkakiwał przy każdym silniejszym akcencie. Niewiedzący słuchacze powiedzieli potem, że mówił truizmy, — ale niejedna filozofia zaczyna od truizmów, aby potem nieznacznie zaprowadzić na pole niesłychanych odkryć.

W Akademii Literatury jest atmosfera lepsza. Wykładający nie znajdują się na równi ze słuchaczami, lecz jakby w odrębnym, swoim świecie. Drobiazgi: pult, lampa tuż przed nim izolująca go. Może dowoli siedzieć, stać, chodzić. Ingarden, mając stan podgorączkowy z powodu świeżo przebytej grypy, mówił stojąc i chodząc blisko 5 kwadransów, a jednak słuchało się go wciąż z taką samą uwagą. Znać było, jak się rozgrzewał swoim tematem, jak znajdował nowe słowa, nowe obrazy, jak wpływa na niego to nieokreślone *favete linguis* ze strony słuchaczy — sprzyjanie w milczeniu. W odróżnieniu od elegancji i płynności Kotarbińskiego mowa jego była jakby ciosal bryły z lodu; nie wymijał trudności filozoficznych, ale je wynagradzał zręcznym dobranymi przykładami; wielkie bloki myśli głębokiej i solidnej; myśli o wielkim oddechu wzniosły się przed słuchaczami odwykłymi od wykładów uniwersyteckich.

Mówił o „Zjawiskach perspektywy czasowej w dziele literackim” i czas był bohaterem tego wieczoru dyskusyjnego. Znany nam czas dwój się i troił, kureczył się lub wydłużał, przybierał różne postaci fenomenologiczne w wywodach profesora. Niestety, nie robilem sobie notatek, rzecz ta ukaże się przecież w druku. Omówiwszy czas subiektywny i fizyczny, na tych podstawach oparł subtelne obserwacje co do roli elastycznego czasu w dziele literackim. Pionierstwo Ingardena na tym polu jest niezaprzeczane; co Proust, T. Mann, Joyce, u nas Choromański robią w praktyce powieściowej, to Ingarden — szczególna koineydenca kulturalna — robi w filozofii, uruchamia czas. Można i trzeba będzie pójść dalej od Ingardena, ale od niego wyjść. Najwięcej mi się podobały perspektywy tych perspektyw, to co wykładający mówili o możliwościach wpływu badań nad czasem na inne dziedziny ducha ludzkiego. Poczucie czasu — zakomunikował — i jego komplikacja stanowi o bogactwie duszy ludzkiej.

Ponieważ każdy ma do czynienia z czasem, bez względu na to, czy go ma czy nie ma, czy czas wypełnia się przykrością czy przyjemnością, dyskutowano prawie do północy. Dziesięciu panów zabierało głos: prof. Górka, prof. Łempicki, Czekański, Napierki, Bujaleki, mgr. Żółkiewski, Hoppenstandt, dr. Blüth, Łaszowski. Dyskusja wybiegała w różne strony, ale dwa tematy najczęściej pasjonowały. Prof. Górka kawalerskim atakiem zaczął wyniki analizy Ingardena w ogóle: czy czas subiektywny, indywidualny można traktować tak, jak się traktuje zjawiska przestrzenne? Czy to nie jest płynny chaos, z którego nie da się wyciągnąć żadnych wniosków dla filozofii literatury? Prof. Górka jest sceptyczny na tym punkcie. Ale wielu na sali wzięło w obronę i fenomenologię cza-

su a przez to, mówili, i humanistykę. Druga kwestia była: czy takie tasowania czasu, jakich się dopuszcza Choromański w *Zadrosi i medycynie*, nie są manierą, modą, lub czy opierają się na rzeczywistości odczuwanej potrzeby artystycznej lub nawet kulturalnej, — wobec tego, że człowiek dzisiejszy ma inne, bardziej wyrobione poczucie czasu niż dawniejszy? Dr. Blüth wskazał przy tym na szczególne katastrofy w poczuciu czasowym w epokach rewolucji. Skusił się też do przemówienia prof. Łempicki i otworzył nową stronę zagadnienia: gramatyka bada również fenomeny czasu literackiego, jakąż jest obfitość czasów w greczyźnie, w języku francuskim, ileż subtelności przepada w dzisiejszych uproszczeniach językowych.

Przemawiali mgr. Żółkiewski i p. Hoppenstandt z uniwersyteckiego Kola Polonistów, dyskutującego czasem w sali gimnazjum Kr. Jadwigi. Ludzie z tego Kola to cech inny. Czytają wiele, dyskutują trudną terminologią, w której sami orientują się doskonale, prerażając laików; teoria literatury zajmuje ich więcej od samej literatury. Z tego samego cechu jest dr. Troczyński z Poznania — jego wieczór dyskusyjny w Kole był wieczorem kabalistycznym. Na wykładzie Ingardena panowie ci dali swoje przyczynki, wykraczające daleko poza sam wykład, świadczące o głębokiej i rozmiłowanej w przedmiocie pracy prywatnej — górale duchowi. „Sitzfleisch” zaczyna i w Polsce stawać się metodą obowiązującą.

KAROL IRZYKOWSKI

NOWE KSIĄŻKI

ENCYKLOPEDIE, PODRĘCZNIKI, SŁOWNIKI

F. J. ŚLIWIŃSKI: *Kieszonkowy słownik ortograficzny*. Warszawa 1936. Inst. Wyd. „Biblioteka Polska”. Str. 67. Zł. 0.50.

Słownik ten zawiera na wstępie przepisy ogólne, podające w krótkim ujęciu różnice, jakie zachodzą między pisownią dawną a nową. W drugiej części daje autor słownik wyrazów najpotrzebniejszych w codziennym użyciu wraz z zasadami ich dzielenia.

GEOGRAFIA, PODRÓŻE

JERZY GIŻYCKI: *Między morzem a pustynią*. Warszawa 1936. Inst. Wyd. „Biblioteka Polska”. (Seria „Biblioteka Miłośników Książki”). Str. 119 i 16 ilustracji na osobnych planszach. Zł. 6.50 w prenumeracie.

Szkice z Afryki, napisane przez młodego podróżnika na podstawie pięcioletnich osobistych doświadczeń i obserwacji.

HALINA SIENICKA: *Uroda Jugosławii*. Warszawa 1936. Inst. Wyd. „Biblioteka Polska”. (Biblioteka Jugosłowiańska pod redakcją prof. Juliusza Beneszića. Tom IX). Str. 360.

Książka składa się z następujących rozdziałów: Wstęp. Słowenia. Chorwacja. Vojudina. Serbia. Poprzez Bośnię i Hercegowinę. Dubrownik. Zatoka Koterska. Czarnogóra. Dalmacja. Chorwackie Primorje (wybrzeże). Barwne opisy autorki uplastyczniają fotografie w liczbie kilku set.

WACŁAW BIAZEJEWSKI: *Ingurö — Wyspa Braterstua*. Wspomnienia z wyprawy polskiej na II-gi światowy złot roversów na Ingurö w Szwecji w 1935 r. Poprzedzone przedmową Tomasza Piskorskiego i uzupełnione wrażeniami Dr. Tadeusza Strumiłły oraz referatami wygłoszonymi na VIII Międz. Konf. Skaut. w Sztokholmie przez Dr. Michała Grażyńskiego, Dr. Tadeusza Strumiłłę i Aleksandra Kamińskiego. Warszawa 1936. Wydawnictwo „Godziemba”. (Biblioteka Starszoharcerska pod redakcją Tomasza Piskorskiego. Tom 3-c). Str. 132. Zł. 1.50.

Ilustrowany opis polskiej wyprawy harcerskiej do Szwecji.

BOLESŁAW OLSZEWICZ: *Najdawniejsze opisy geograficzne Śląska*. Katowice 1936. Wydawnictwa Instytutu Śląskiego. (Polski Śląsk: Odczyty i rozprawy. 24.) Str. 65. Zł. 2.—.

Rozprawa zawiera wiadomości o geograficznych opisach Śląska od pierwszych wzmianek w czasach starożytnych aż do końca XVI wieku. Obszerne omawia autor obrazy Śląska przedstawione w *Chorografii* Długosza oraz dokładny opis Bartłomieja Steina z początków XVI wieku.

MELCHIOR WAŃKOWICZ: *Na tropach Smętki*. Warszawa 1936. „Biblioteka Polska”. Str. 371. 2 drzeworyty, 2 pięciobarwne rozkładane mapy, 3 wkładki trójbarwne, 19 map, planów i wykresów, 40 rysunków, 172 fotografie. Okładkę projektowało Studio Lewit-Him. Drzeworyty St. O. Chrostowskiego. Mapy wykonane pod kierownictwem Doc. Dr. Bogdana Zaborskiego w pracowni kartograficznej Instytutu Badań Spraw Narodowościowych. Zł. 9.50.

Temu świetnie napisanemu i pięknie wydanemu opisowi podróży po Mazurach Pruskich poświęci *Pion* obszerne omówienie w jednym z najbliższych numerów.

HISTORIA I KRYTYKA LITERATURY

TADEUSZ ŻELEŃSKI (BOY): *Perfumy i krew* (Wrażenia teatralne). Warszawa 1936. Tow. Wydawn. „Rój”. Str. 260. Zł. 5.—.

Piętnasty z kolei tom recenzji teatralnych Boya, obejmujący repertuar teatrów warszawskich od stycznia do października 1935 r.

STANISLAV MEČIAR: *Poezja a život*. Esays o polskiej literaturze. Turčiansky Sv. Martin 1936. Matica Slovenská. (Knižnica Slovenských Pohl'adov. Sväzok XLIV). Str. 208. K. cz. 21.—.

Książka składa się ze szkiców o następujących poetach i pisarzach polskich: Mickiewicz, Krasiński, Słowacki, Norwid, Tetmajer, Kasprzyc, Berent, Reymont, Żeromski, Wyspiański, Staff. Wybór ten autor uzasadnia w „słowie wstępnym” pisząc: „Niniejsze szkice portretowe pragnę przybliżyć szczytowe zjawiska literatury polskiej, ponieważ w literaturach obcych należy się zajmować tym, co w nich jest najlepszego, co z narodowego stało się nadnarodowym”.

PEDAGOGIKA

ZWIĄZEK NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO: *O właściwym stosunku do pracy nauczyciela*. Warszawa 1936. Skł. gl. Nasza Księgarnia S. A. Str. 61.

ZWIĄZEK NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO: *O właściwym poziomie kształcenia nauczycieli szkół powszechnych w Polsce*. Warszawa 1936. Skł. gl. Nasza Księgarnia S. A. Str. 32.

Broszury powyższe przedstawiają stanowisko Związku Nauczycielstwa Polskiego w sprawie zagadnienia oceny pracy nauczyciela oraz w sprawie systemu kształcenia nauczycieli szkół powszechnych. Obie sprawy posiadają pierwszorzędne znaczenie dla rozwoju stosunków szkolnych i oświatowych w Polsce.

POEZJA

NORBERT BONCZYK: *Stary kościół miechowski*. Wydanie IV krytyczne. Opracował Wincenty Ogrodziński. Katowice 1936. Wydawnictwa Instytutu Śląskiego. (Biblioteka Pisarzy Śląskich. Tom I.) Str. LXXX i 266. Zł. 4.—.

Nowa seria wydawnictw Instytutu Śląskiego — Biblioteka Pisarzy Śląskich — ma na celu rozpowszechnienie znajomości utworów literackich, które dotąd były zazwyczaj trudno dostępne i poza Śląskiem bardzo mało znane. W pierwszym rzędzie uwzględniono ludową epopeję górnośląską *Stary kościół miechowski* ks. Boneyzka. Bardzo starannie przygotował poemat do druku Wincenty Ogrodziński, dodając obszerny wstęp, objaśnienia, odmiany tekstu oraz wykaz nazwisk i nazw miejscowości. We wstępie znajdzie czytelnik opis podłoża twórczości ks. Boneyzka, wiadomości o środowisku, w jakim powstał poemat, charakterystykę języka i stylu autora oraz echa, jakie utwór wywołał. Obszerne wyjaśnienia, ułatwiają lekturę dzieła nawet nieobeznanym ze stosunkami i wyrażeniami śląskimi. Instytut Śląski przewidując wydanie wszystkich pozostałych pism ks. Boneyzka, które wejdą do dwu dalszych tomów Biblioteki Pisarzy Śląskich.

Współczesna poezja polska 1915—1935. Antologia poetycka. Opracował ADAM SZCZERBOWSKI. Warszawa — Zamość 1936. Koło Miłośników Książki. Skł. w księgarni L. Kapickiego w Zamościu. (Księgarnia Literacka. Tom I.) Str. 208.

„Antologii niniejszej — pisze wydawca — jednym i bardzo istotnym zamierzeniem jest dać do rąk jak najszerszym sferom czytelnicy, a młodzieży najwyższych klas szkół średnich wszystkich typów przede wszystkim, książkę zawierającą przegląd najwybitniejszych poetów ostatniego dwudziestolecia z ich najbardziej reprezentatywnymi utworami, aby tą drogą wprowadzić czytelników w poezję współczesną, zapoznać z nazwiskami twórców, zachęcić do dalszej lektury i na przekór wszelkim pozorom głoszącym bezpotrzebność poezji w naszych czasach przyczynić się do jej spopularyzowania”. W książce znajdują się utwory trzydziestu poetów, przypisy i objaśnienia wydawcy i wskazówki bibliograficzne.

ANNA SWIRSZCZYŃSKA: *Rok polskiego dziecka*. Wiersze i obrazki sceniczne na doroczne święta państwowe i szkolne. Warszawa 1936. Inst. Wyd. „Biblioteka Polska”. Str. 112.

Na treść książeczki składają się wierszyki i obrazki sceniczne na wszystkie uroczystości szkolne od otwarcia roku szkolnego zaczynając, poprzez rocznice i święta narodowe i państwowe w ciągu roku aż do uroczystości zakończenia roku szkolnego. Prócz tego materiału uwzględniła autorka ponadto miesiąc Książki, święto Lasu, dzień Matki, święto Pieśni, dzień Współdziałalności, święto Dziecka, dzień Czerwonego Krzyża, dzień Dobroci dla Zwierząt, dzień Szkół Powszechnych. Układ całego materiału jest mniej więcej chronologiczny, przystosowany do następstwa tych uroczystości w ciągu roku.

JULIAN TUWIM: *Treść gorączka*. Warszawa 1936. J. Mortkiewicz. (Pod znakiem poetów. Seria nowa.) Str. 104

Artykuł o nowym tomie liryki znakomitego poety umieścił niebawem w *Pionie* Wł. Sebyła.

JULIUSZ WIT: *Lampy*. Poezje. Warszawa 1936. Gebethner i Wolff. Str. 80.

Motto umieszczone na czeluście tego zbioru wierszy głosi: „nigdy nie jest zupełnie dobrze wiadomą godziną, w której sztuka wybucha jak do wiercony naftowy szyb”.

POWIEŚĆ

POLA GOJAWICZYŃSKA: *Górnoślązaczka*. Warszawa 1937. Tow. Wyd. „Rój”. Str. 60. Zł. 1.—.

Osobne wydanie dwóch nowel ze znanego zbioru *Powszedni dzień*. Polecone przez M. W. R. i O. P. jako lektura na kl. IV gimn.

HELENA MATY: *Życie jakich wiele*. Powieść. Tom I. Tom II. Warszawa 1936. Skł. gl. Gebethner i Wolff. Str. 320 i 388.

Powieść autobiograficzna z życia lekarki.

LEOPOLD BRODZIŃSKI: *Faun z Hollywood*. Warszawa. Skł. gl. Gebethner i Wolff. Str. 216.

Powieść ze świata filmowego.

ANDRÉ GIDE: *Lochy Watykanu*. Przełożył i wstępem opatrzył Tadeusz Żeleński (Boy). Warszawa 1937. Tow. Wyd. „Rój”. (Seria „Dzieła XX wieku”). Str. 351. Zł. 7.—.

Powieść tę omówiła w poprzednim numerze *Pionu* Irena Krzywicka, w artykule „Poezja i groteska”.

P. G. WODEHOUSE: *Burliwa pogoda*. Z upoważnienia autora przełożyła Bolesława Kopelówna. Warszawa 1937. Tow. Wyd. „Rój”. Str. 384.

Humorystyczna historia Sir Galahada Treepwooda, który napisał księgę przygód swej młodości, kompromitującą wszystkich wysoko postawionych przyjaciół.

A. FIELDING: *Falszyty banknot*. Z upoważnienia autora przełożyła L. C. Warszawa 1931. Tow. Wyd. „Rój”. Str. 269.

Bohaterem tej powieści jest wyświechtany banknot, który przechodzi z rąk do rąk i staje się w końcu kluczem kryminalnej zagadki. Autor zręcznie wplótł do akcji nie politycznej intrygi, nadając powieści posmak aktualności.

KATARZYNA HOLLAND: *Srebrna strzala*. Z upoważnienia autorki przełożyła L. C. Warszawa 1937. Tow. Wyd. „Rój”. Str. 261. Zł. 5.—.

Jedną z czołowych współczesnych pisarek niemieckich przedstawia w tej powieści zwykły żywot szarego człowieka, borykającego się z losem w epoce kryzysu.

LEONID SOBOLEW: *Kapitałny remont*. Przełożyła Halina Piliłchowska. Warszawa 1937. Tow. „Rój”. Str. 333. Zł. 5.

Obraz Rosji w r. 1914. Akcja powieści rozwinęła się na okęcie wojennym.

LEONID LEONOW: *Droga na ocean*. Tom I. Tom II. Przełożył A. Stawar. Warszawa 1936. Tow. Wyd. „Rój”. Str. 237 i 240.

Znany u nas z tłumaczenia *Borsuków* i *Złodzieja* autor przedstawia tu w wyrafinowanej technice powieściowej dzieje ugasania człowieka czynu, dzieje dwóch braci zrzuconych przez los do przeciwnych obozów — rewolucji i starego porządku. Dzieje te stanowią ośnowę dla obrazu środowiska, przedstawionego z niezrównaną plastyką, pasją i umiętnością analizy. Nowy utwór Leonowa jest jednym z najwybitniejszych osiągnięć w dziedzinie powieści współczesnej.

MAKSYM GORKIJ: *U obcych*. II. Z rosyjskiego przełożyła Halina Piliłchowska. Wiersze przełożył Lucjan Szenwald. Warszawa 1937. Tow. Wyd. „Rój”. Str. 250.

Jest to dokończenie helletryzowanej trylogii autobiograficznej Gorkiego. Pierwsze dwa ognia trylogii — *Moje dzieciństwo* i *Moje uniwersytety* — ukazały się dawniej w tłumaczeniu polskim.

BOLESŁAW LEŚMIAN: *Przygody Sindbada Żeglarsza*. Warszawa 1936. Inst. Wyd. „Biblioteka Polska”. (Seria „Biblioteka Miłośników Książki”). Opracowanie graficzne oraz ilustracje Atelier Girs-Barcz. Str. 193. Zł. 6.50 w prenumeracie.

Jest to drugie wydanie fantazji na temat fragmentu *Bajek z tysiąca i jednej nocy*. Na tle przygód Sindbada żeglarsza snuje Leśmian swoje fantastyczne opowieści, interesujące żywo zarówno dorosłych jak młodych. Książka żywa i zajmująca, napisana doskonałym stylem, zaprawiona pogodnym humorem ze szczyptą ironii i sarkazmu. Kopie kolorowych międzyorytów atelier Girs-Barcz oraz piękny układ graficzny całości nadają książce wartość prawdziwie bibliofilską.

PUBLICYSTYKA

STEFAN GLIXELLI: *W trzecią rocznicę zwinienia 52 katedr w szkołach akademickich*. Lwów 1936. Skł. gl. D. K. P. w Warszawie. Str. 16.

SOCJOLOGIA

BERTRAND RUSSELL: *Pochwała próżniactwa*. Z upoważnienia autora przełożył Antoni Pański. Warszawa 1937. Tow. Wyd. „Rój”. Str. 272. Zł. 6.—.

Ten tom szkiców na tematy socjologiczne, ekonomiczne, pedagogiczne i in. omówi *Pion* w osobnym artykule.

SZTUKA LUDOWA

Wzory hafciarstwa ludowego na Górnym Śląsku. Wydała AGNIESZKA DOBROWOLSKA. Katowice 1936. Wydawnictwa Instytutu Śląskiego. Str. 9 i 21 tablic. Zł. 1.50.

Wydawnictwo to po raz pierwszy publikuje oryginalne wzory hafciarstwa ludowego na Górnym Śląsku, wybrane ze zbiorów p. Mendel-Koryntowskiej z Siemianowic i p. Panińskiej z Goczałkowie. Wzory pochodzą głównie z okolic Siemianowic, Katowic i Pszeczyny.

TEATR

BUNSCH — GORECKI — KUDLIŃSKI: *Nowa realizacja Hamleta oparta na pomysły Stanisława Wyspiańskiego*. Inscenizacja: Tadeusza Kudlińskiego. Adaptacja tekstu: W. Goreckiego. Dekoracje i kostiumy: A. Bunscha. Plan gry: opracowany zbiorowo. Kraków — Warszawa 1936. Biblioteka Zet. Str. 30.

Autorowie piszą: „Rozprawka Tadeusza Kudlińskiego jest punktem wyjścia naszego projektu nowej realizacji szekspirowskiego *Hamleta*, opartej zasadniczo na pomysły St. Wyspiańskiego. Wynikiem wspólnej naszej pracy jest szczegółowy plan gry. Nie drukujemy go ze zrozumiałych przyczyn. Również nie mamy możliwości opublikowania nowej adaptacji tekstu Wiesława Goreckiego. Projekty dekoracji i kostiumów, których odbitki podajemy w teście, oraz drzeworyt na okładce są Adama Bunscha. Jego też końcowe objaśnienia”.

STEFAN LUBIENSKI: *Na morza i ziemi rubieży*. Sceniczna ballada w 4 aktach. O Smanku-Rybaku i walce człowieka z odłamek. Drzeworyt na okładce jest dziełem Stefana Mroźewskiego. Miejsce Piastowe 1936. Skł. u Gebethnera i Wolffa. Str. 108.

JANUSZ A. RYMSZA: *Jułowie i widma*. Wiersze ludowe w 3 aktach (9 odsonach). Warszawa 1936. Nakładem Domu Książki Polskiej. Str. 84.

WYDAWNICTWA PERIODYCZNE

PRZEGLĄD WSPÓŁCZESNY. Miesięcznik. Złożyciel Dr. Stanisław Badeni. Redaktor Naczelny: Dr. Stanisław Wędkiewicz. Rok XV. — tom LIX. Nr. 10 (174). Październik 1936. Warszawa. Str. 144. Cena numeru zł. 3.—. Prenumerata kwartalna zł. 8.—.

Treść: Tadeusz Dobrowolski: Naturalizm i formalizm w sztuce jako pozorne antynomie. — Jan Berger: Dramat i teatr w pierwszych latach Trzeciej Rzeszy. — Adam Krzyżanowski: Demograficzne oblicze poprawy koniunktury. — Ks. Kamil Kantak: Franciszkanie (średniowieczni w Polsce. — Leon Hertz: Psychoza własnego domu. — Bolesław Gawecki: Nauki ścisłe a metafizyka. — Wacław Borowy: Norwid w typie A + M (Rec. z książki Wł. Arcimowicza C. K. Norwid na tle swego konfliktu z krytyką). — K. W. Zawodziński: Najpewniejszy poeta (Rec. z tomu poezji Jana Brzechwy *Piolun i oblok.*) — Roman Dyboski: Dzieło angielskie o Górnym Śląsku (Rec. z książki Williama Rose *The Drama of Upper Silesia.*) — Władysław Bogatyński: Najnowsza monografia Fryderyka Papę o Janie Olbracht. — Stanisław Wędkiewicz: *Quo vadis?* Sienkiewicza we Francji (O książce francuskiej Marii Kosko.) — K. W. Zawodziński: Grupa Skamandra a Młoda Polska.

PRZEGLĄD POWSZECHNY. Rok LIII. Tom 212. Październik 1936 — Nr. 10 (634) i Listopad 1936 — Nr. 11 (635). Naczelny Redaktor Ks. Edward Kosibowicz T. J. Warszawa. Wydawn. Księży Jezuitów. Str. 264. Cena numeru zł. 2.—. Prenumerata półroczna zł. 10.—.

(L. P.) **Przeгляд Powszechny**, jeden z najstarszych polskich miesięczników, wychodzący bez przerwy od 52 lat, jest pismem katolickim w podwójnym znaczeniu tego słowa: jest pismem katolickim w sensie religijnym, jako organ Towarzystwa Jezusowego, ale jest też nim w etymologicznym znaczeniu greckiego przymiotnika *katholikos*: powszechny, wszechogarniający. Nie ma bowiem dziedziny życia, która by nie była uwzględniana w tym miesięczniku. Nie tylko religia, lecz również nauka, sztuka, literatura, sprawy społeczne, polityczne, ekonomiczne, wychowawcze, sportowe traktowane są tu często i z chwalebny dążeniem do możliwie najgruntowniejszego ich ujmowania. W ostatnich numerach, po objęciu redakcji przez O. Kosibowicza, zaznaczył się ubytek prac historycznych i historyczno-literackich (dawniej bardzo częstych i na ogół utrzymanych na wysokim poziomie naukowym), natomiast pojawiły się prace z zakresu nauk ścisłych (inż. A. Kliszewicza *Przełom w nauce: od Jończyków do Einsteina. Einsteinizm i teoria kwantów*) i z zakresu ekonomii (St. Szczutowskiego *Agonia złotego cielca*) oraz polityki bieżącej (J. Ptaszyckiego *Wobec hiszpańskich wypadków* i St. Szczutowskiego *Przebudzenie lwa* — na ten sam temat). W numerze listopadowym znajduje się wybitnie interesujący i świetnie napisany artykuł Romana Piotrowicza p. t. *Imperium Brytyjskie w nowej fazie rozwoju*. Aktualne sprawy Kościoła w Polsce omawia w każdym numerze redaktor naczelny, nawiązując przy tym do najżywoźniejszych spraw naszego życia politycznego. Sprawom państwa poświęcony jest ponadto osobny przegląd, podpisany pseudonimem A. Prawdź. Bardzo żywym działem w każdym numerze jest przegląd piśmiennictwa, prowadzony systematycznie i rzeczywiście „katolicki” w tym drugim znaczeniu (nie mówiąc już o pierwszym): z pewnością nie pominięto tu żadnego wybitniejszego wydawnictwa polskiego, od belletrystyki do nauk całkiem specjalnych. Recenzje na ogół są gruntowne i zawsze uczciwe. Powieści polską omawia stale p. Zofia Starowiejska-Morstinowa. Nawet takie wydawnictwa jak przekłady poezji P. Valérogo czy utworów dramatycznych A. Gide'a i P. Claudela znajdują tu kompetentną i życzliwą ocenę — i to przez recenzentów, którzy przy nazwisku dodają litery T. J. Oczywiście, wśród tak licznych recenzji muszą się czasem trafić rzeczy słabsze. W ostatnich dwóch numerach niezwykłą powierzchownością wyróżniają się recenzji z prac historyczno- lub teoretyczno-literackich, podpisane: T. Grabowski. Najbardziej jest zakończenie notatki o studiach literackich Ostapa Ortwinia *Próby przekrojów*. Recenzent powiada tam: „Dzieło Ortwinia winno znaleźć się w każdym polskim domu”. Pomijając miłą banalność tej formuły, trudno sobie wyobrazić większy nonsense. Napewno sam autor *Przekrojów* będzie najbardziej zaskoczony tą rekomendacją swego dzieła — i to wydrukowaną w *Przeглядzie Powszechnym*! *Próby przekrojów* są książką trudną, bardzo subtelną ale bardzo specjalną; tylko w niektórych domach polskich i tylko przez niektórych mieszkańców tych domów książka Ortwinia może być z pożytkiem czytana. A takie rekomendacje jak „w każdym domu polskim...” to są wyniki nieodpowiedzialnego gadulstwa. Ani na chwile nie przypuszczamy, żeby T. Grabowski miał być identyczny z prof. Tadeuszem Grabowskim z Poznania.

VERBUM. Kwartalnik poświęcony zagadnieniom kultury współczesnej. III. 15 października 1936 r. Warszawa. Redaktor X. Wł. Kornilowicz. Str. 437—591. Cena numeru zł. 3.—. Prenumerata roczna zł. 9.—.

Treść: Z psalmów Dawidowych przełożył Leopold Staff. — I. M. Bocheński O. P.: W sprawie logistyki. — J. Fr. Drenowski: O potrzebie ścisłości. — F. Konopka: Dialog (wiersz). — R. Knox: Mowa żałobna ku czci Chestertona. — Z. Starowiejska-Morstinowa: Jacques Rivière. — M. Stokowska: Ze studiów nad Dantem. — Sil-

vester: Jan Parandowski: *Niebo w płomieniach*. — M. Morstin-Górska: *Krzyżowcy*. — Ks. A. Pawłowski: Pierwszy synod plenarny w Polsce. — J. Siwecki: O pełnym humanizmie. — Z treści tej na specjalne wyróżnienie zasługuje artykuł o powieści Parandowskiego, napisany przez świetne pióro krytyczne, osłonięte pseudonimem Silvester. Zawód natomiast sprawa artykuł p. Morstin-Górskiej o *Krzyżowcach*. Właśnie w *Verbum* można było oczekiwać omówienia powieści Zofii Kossak w sposób o wiele gruntowniejszy.

DROGA. Miesięcznik poświęcony sprawie życia polskiego. Rok XV. Nr. 9. Październik 1936. Warszawa. Redaktor: Wilam Horzyca. Str. 653—740. Cena numeru zł. 2.—. Prenumerata kwartalna zł. 5.—.

Treść: Jaromir Ochędusko: Tło reformy Ligi Narodów. — Stefan Rychłowski: Problem melioracji Polesia. — Jan Zbinden: Technika i odrodzenie. — Tymon Terleki: Wojciech Bogusławski — pisarz. — Wiktor Brumer: Wojciech Bogusławski — artysta teatru. — Leon Schiller: W dworku na Nowolipkach. — Wassan-Girej Dżabaży: Zagadnienie arabskie. — Recenzja Stefana Flukowskiego z rocznika *Życie Sztuki*.

MIESIĘCZNIK LITERACKI STUDIO. Pod redakcją Bogusława Kuczyńskiego. Rok I. Nr. 7. Październik 1936. Warszawa. Str. 209 — 256. Cena numeru zł. 0.80. Prenumerata kwartalna zł. 2.—.

Treść: Witold Gombrowicz: List otwarty do Brunona Schulza. — Bruno Schulz: Do Witolda Gombrowicza. — Bolesław Leśmian: Kołmołuch. — Julian Przybóś: Fragmenty z poematu. — Kazimierz Czachowski: Prawdy i herezje. — K. A. Jaworski: Miesięcznik poetycki *Kamena*. — Stefan Napierski: Próba mitu. — Adolf Rudnicki: Na ulicy Mazowieckiej. — Kazimierz Truchanowski. — Książki z ubiegłego miesiąca. — Teatr. — Kim jestem, co czytam i co piszę? Ankieta M. L. Studio.

KAMENA. Miesięcznik literacki. Rok IV. Nr. 1 (31) — wrzesień i Nr. 2 (32) — październik 1936. Redaktor Kazimierz Andrzej Jaworski. Chełm Lubelski. Str. 56. Cena numeru zł. 0.60. Prenumerata roczna zł. 5.—.

Powyższe dwa numery zawierają: prozę Tadeusza Bocheńskiego, Kaz. Truchanowskiego (fragment powieści), Julii Wieleżyńskiej (Poezja serbo-łużycka), Lwa Gomolickiego i J. Iwaska (przekład z rosyjskiego); wiersze W. Słobodnika, Olgi Dauksza, S. Napierskiego, W. Iwaniuka, Cz. Janczarskiego, K. A. Jaworskiego, J. Łobodowskiego, M. Jastruna, M. Lurczyńskiego, H. Czerkiesa, M. Lisiewicza, T. Bocheńskiego i J. K. Weintrauba; przekłady poetyckie z poetów łużyckich, francuskich, rosyjskich i niemieckich; recenzje z dwóch nowych zbiorów poetyckich (Pietrzaka i Kotta) wreszcie kroniki i noty redakcyjne; wśród tych not zastanawia jedna, w której napisano, że *Sygnali* lwowski zamieściły „przekład entuzjastycznego (podkreślenie nasze) artykułu Upt. Sinclaira o Conradzie”. Kogo się tu wprowadza w błąd i w jakiej intencji?

OKOLICA POETÓW. Miesięcznik. R. II. — Nr. 10 (19). 15 października 1936. Tomu trzeciego zeszyt pierwszy. Ostrzeszów. Redaktor Stanisław Czernik. Str. 24. Cena numeru zł. 0.75. Prenumerata kwartalna zł. 2.—.

Treść: Stanisław Czernik: Co i jak. — Jerzy Pietrkiewicz: Jak powstaje wiersz (dziesiąta odpowiedź na ankietę). — Albin Dziekoński: Wrażenia z ankiety. — Wiersze St. Czernika, J. Pietrkiewicza, E. Kozłowskiego, J. B. Ozoga, J. A. Frasika, B. G. Kamodzińskiego, E. Herberta, J. Stachowskiego, Cz. Janczarskiego, S. Gołbiewskiego i Z. Bienkowskiego; przekłady poetyckie A. M. Swinarskiego z Dauthendeya i Hofmannsthal; recenzje z ostatnich zbiorów Cz. Janczarskiego, W. Iwaniuka i T. Hollendra; uwagi o poezji w czasopiśmie i list do Redakcji Juliana Przybysia kontynuujący polemikę z M. Piechalem, rozpoczętą w *Pionie*.

RUCH LITERACKI. Założony przez Bronisława Gubrynowicza. Rok XI. Nr. 3. Maj-czerwiec 1936. Warszawa. Redaktor Piotr Grzegorzczak. Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza i Inst. Wydawn. „Biblioteka Polska”. Str. 65—96. Cena numeru zł. 1.50. Prenumerata roczna zł. 6.—.

Treść: Mieczysław Giergielewicz: Dzieło prof. Bronisława Gubrynowicza (Omówienie *Studiów literackich*, wydanych przez Juliana Krzyżanowskiego w r. 1935). — Aleksander Brückner: Prawda o „Bogurodzicy” (Ujęte w 14 krótkich paragrafów credo prof. Brücknera w sprawie pochodzenia „Bogurodzicy”). Wierzący uwierzy, herezyk będzie wątpił dalej). — Stefania Skwareczyńska: Listy Sobieskiego do Marysieńki jako zjawisko kulturalne i literackie (dokończenie pracy rozpoczętej w poprzednim numerze). — Jan Miśkowiak: Ze studiów nad Sowizdrzałem. — Tekst przemówienia Kasprowicza *Nad trumną Witkiewicza* (wydał Ludwik Ruth). — Włodzimierz A. Francow: Mickiewicz i Rosjanie (drobiazgi z czasopiśm rosyjskich). — W dziale recenzji omówiono: H. Batowskiego *Mickiewicz a Słowiańskie do roku 1840* (przez A. Brücknera); ukraiński przekład Pana Tadeusza M. Rylskiego (przez J. Birkenmajera); St. Dobrzyckiego *Rodowód Telimyny* (przez J. Kulczycką); Księgę zbiorową ku czci Ignacego Chrzanowskiego (przez J. Birkenmajera) i zarys monograficzny *Udział twórczości katolickiej w dzisiejszej literaturze świata*, zredagowany i w znacznej części napisany przez O. Forst-Battaglię (przez S. Cywińskiego).

JĘZYK POLSKI. Organ Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego. Rok XXI. Nr. 4. Lipiec-sierpień 1936. Kraków. Redaktor: prof. Kazimierz Nitsch. Str. 9 — 12. Cena numeru zł. 1.—. Prenumerata roczna zł. 5.—.

(L. P.) W numerze tym literata zajmą przede wszystkim dwie prace: Kazimierza Budzyka *Gwara a utwór literacki i rzecz Literaci o języku* podpisana przez Redakcję. Są to wzorowe przykłady obiektywnych, ścisłych i metodycznych badań naprawdę literackich. Rzecz szczegółowa, że te prace ukazują się w organie językoznawczym, podczas gdy w pismach literackich (np. w *Studio*) widzimy najgorsze przykłady psychologizmu i biografizmu (badania Wandy Melcer nad własną twórczością powieściopisarską). — Poza tym numer zawiera: dokończenie rozprawki S. Westfala *O zwrotach „w Litwie” i „do Litwy”*; H. Szwedkowskiej *Dodatkowe uwagi o regionalizmach Mickiewicza, Z. Stiebera „Słowak” i „Słowiac”* (forma ludowa *Słowiac* jest pierwotna; formę literacką *Słowak* przejęto od wędrownych Słowaków); Jerzy Z. Żehrowski: *Dzieje i pochodzenie „fircyka”* (wywód etymologiczny od niem. *fürst*); *Nieporozumienia w notatkach* (polemika pomiędzy prof. W. Doroszewskim a prof. H. Grappinem na temat klasyfikacji polskich przymiotników złożonych); *Wyjaśnienia do artykułu p. t. „Z zagadnień gwarowych w Chłopach Reymonta”* Wiktora Węglarza z dopiskiem Redakcji. W *Opowiadaniach* Redakcja wyjaśnia pytającym kilka wątpliwości językowych, czasem całkiem elementarnych. Ktoś np. pytał, jaka jest różnica między wyrazami *dewocja* i *dewocjonalia*.

Wszystkie książki i książkowe wydawnictwa periodyczne (miesięczniki, kwartalniki, roczniki), nadsyłane do PIONU, notowane są w dziale „Nowe Książki” i zaopatrywane — w miarę możliwości — w krótkie notki informacyjne. Recenzje dłuższe umieszcza redakcja podług własnego uznania i wyboru. PP. Wydawcy proszeni są o nadsyłanie swych wydawnictw — o ile to możliwe — w dwóch egzemplarzach.

PRZEGLĄD PRASY

KATOLICYZM A NACJONALIZM. Często poruszanych w ostatnich czasach — ze zrozumiałych powodów — problemem jest zagadnienie stosunku katolicyzmu do nacjonalizmu. Jedni autorzy atakują kościół, ponieważ uważają, że powinien on ze względu na rozwój nacjonalizmu w Polsce zająć wobec tego ruchu społeczny zdecydowanie wrogą postawę, drudzy zaś usiłują udowodnić, że między nacjonalizmem polskim a ideologią katolicką nie ma zasadniczych sprzeczności, wobec czego wrogi stosunek katolicyzmu do nacjonalizmu byłby nie tylko szkoldliwy, ale poza tym niczem nieumotywowany. Sprawę komplikuje zagadnienie żydowskie i program nacjonalistyczny, szczególnie te jego punkty, które się odnoszą do zagadnienia żydowskiego. Z ważniejszych głosów w tej dyskusji należałoby wyliczyć artykuły K. Pruszyńskiego, St. Piaseckiego, Kossak-Szczuckiej. Ostatnio poruszył to zagadnienie A. Sobański oraz ks. Edmund Elter, T. J. (Czas z 24. X. i 1. XI. b. r.). Sobański zarzucał kościołowi, że popiera on rozrost nacjonalizmów, co jest niezgodne z zasadami doktryny katolickiej, która nie może się godzić na to, żeby jakiegokolwiek ziemskie dobro, a więc dobro narodu także, było uważane za najwyższe dobro. Uważał on dalej, że racje doktrynalne jak i polityczne nakazywałyby kościołowi raczej popierać „front ludowy” niż nacjonalizm. Ks. Elter stara się wykazać, że wywód Sobańskiego nie jest trafny, a to ze względu na to, że kościół nie jest zasadniczym wrogiem nacjonalizmu, dopóki ten nie zaprzeczy fundamentalnym zasadom dogmatycznym i etycznym kościoła. Jeśli zaś chodzi o racje polityczne, to ks. Elter zaznacza, że kościół uważa nacjonalizm za gwarantujący przed zalewem komunistycznym, wobec czego stosunek jego do wszelkich narodowych ruchów musi być siłą rzeczy raczej pozytywny. Referujemy te dyskusję z *Czasu* dla ścisłości, mimo że nie jesteśmy zdania, żeby tak artykuł Sobańskiego jak i odpowiedź ks. Eltera pogłębiły zasadniczo zagadnienie. Uważamy, że zagadnienie to, bardzo aktualne, czeka jeszcze na rozwiązanie. Że rozwiązanie nie będzie tak prosto wyglądało, jak sobie wyobrażają i Sobański i ks. Elter, jest jasne, jeśli uwzględnimy, że pojęcie „kościół” nie jest jednoznaczne; mieści się w nim dwojaka treść — kościół jako doktryna dogmatyczna i kościół jako organizacja historyczna, która w historycznych warunkach musi się z historycznymi kategoriami liczyć, a więc z dwóch wrogich sobie doktryn popierać raczej tę, która jest mniej groźna dla niego — i tak długo, dopóki się dla niego groźna nie stanie. Oczy-

wście i posunięcia taktyczne mają swoje granice. Gdzie jednak są te granice, powinni rozstrzygnąć teologowie.

„LOGEION”. Objazdowy teatr wołyński zaczął wydawać pismo poświęcone propagandzie kultury teatralnej. Na nr. 1 pisma składa się kilka artykułów poświęconych sprawom teatralnym oraz kronika. Artykuły niektóre wydają się nieraz niepotrzebne i zbyt „historyczne”. Nie sądzimy, żeby w drobnej chociażby mierze przyczyniły się do „propagandy teatru” prace w rodzaju: „Historia powszechna teatru”, w której autor streszcza podręcznikowe wiadomości o rozwoju teatru greckiego, rzymskiego, egipskiego (!), japońskiego, hinduskiego i t. d. Raczej japońskie wrażenie robią także fotografie wszystkich autorów artykułów umieszczonych w numerze. Po co także w piśmie przeznaczonym dla publiczności a nie dla aktorów artykuł: „Teatr i aktor w świetle obowiązujących ustaw”? Ponieważ sam fakt ukazania się pisma uważamy za dodatni, podkreślamy tym mocniej pewną niedołęność wykonania. Sądzimy, że dobrze redagowane pismo tego rodzaju miałyby nieprzeciętną wartość propagandową. Jak zaś propaganda teatralna jest w Polsce potrzebna, świadczą statystyczne dane z tegoż numeru: „Niemcy mają 309 teatrów — a w tym 70 oper, Rosja posiada 572 teatry, a my mamy 22 teatry, w tym 2 opery niekompletne!”

TEATRALNOŚĆ CZY WARTOŚCI DRAMATYCZNE. Zagadnieniu temu jest poświęcony artykuł w *Logeionie*, w którym autor, dr. M. Koblarczyk, stara się wykazać, że krytyka Iksów warszawskich z początku XIX wieku przewyższała współczesną krytykę teatralną większym zrozumieniem wysiłków aktora i reżysera. Dr. K. zarzuca współczesnym recenzentom, że zwracają oni wyłącznie uwagę na wartości literackie i dramatyczne wystawianej sztuki, zaniadając grę aktorską. Z uwagami autora trudno się nie zgodzić, jeśli przypomnimy sobie, jak lekceważąco normalny krytyk traktuje swój obowiązek zrecenzowania gry teatralnej. Nie możemy jednak przyznać słuszności p. J. Leszczycowi, który w nr. 10 *Odnowy* posuwa się tak daleko, że uważa, iż teatr powinien być nadrzędny w stosunku do dramatu. Mętne wywody historyczne autora bynajmniej nas nie przekonują. Oburzenie zaś jego na to, że „wszelka inicjatywa, świadcząca o słabym choćby dążeniu do usamodzielnienia teatru, jest traktowana w stosunku do żyjącego autora jako zamach na jego prawo do dzieła, w stosunku do zmarłego — jako *tout court* profanacja” wydaje się nam, którzy widzieliśmy na scenie niejednokrotnie „triumfy” teatralności, grubo spóźnione. Jesteśmy raczej skłonni uważać, że na tak pojętej „teatralności”, na takim usamodzielnieniu się od literatury teatr najwięcej traci. Przekonanie nasze nie jest aprioryczne; doświadczenie teatralne w przeważającej ilości wypadków „ultrateatralności” dało całkiem jednoznaczny i wyraźny odpowiedź.

NIESMACZNE PLOTKARSTWO. Jak widać z wyjątku nowej powieści Zegadłowicza *Msik* (w *Wiadomościach Literackich*, nr. 45), zamierza on przedstawić całe swoje życie. Wyśiłek ciekawy; niestety, nie możemy stracić wrażenia, że ta jego autobiografia będzie niczym więcej niż zbiorem plotek. Opis „Ministerstwa Kultury i Sztuki”, powtarzający albo znane kawały, które się przy kawie we wszystkich cukierniach słyszało, albo charakterystyczny znane postaci świata literackiego, jest nudny jak wszystkie plotki, wygłaszane z moralizatorstwem i pretensjami do przedstawienia „rzeczywistej rzeczywistości”. Amorfizm opowiadania, to lanie się ciurkiem wody pseudoliterackiej, ta nieumiejętność zrozumienia i przedstawienia bohaterów opowiadania — i wreszcie poziom intelektualny autora, któremu wystarcza taki plotkarski stosunek do rzeczywistości, ha, który nawet uważa, że to jest właściwszy stosunek — przygnębiają. Mamy wrażenie, że powieści Zegadłowicza będą kiedyś w panoplium historyczno-literackim reprezentowały karykaturę współczesnej metody „odpisywania z życia”.

W. BAK

NOWY ADRES
REDAKCJI I ADMINISTRACJI
„PIONU”
Chmielna 33 m. 5
Warszawa

REDAKCJA: Warszawa, Chmielna 33, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Chmielna 33, telefon 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., 1/2-rocznie 9.50 zł., rocznie 18 zł.; zagranicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Blankiety rozrach. Nr. kartoteki 85. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szer. 1 szpalty — 60 gr. za tekst; 80 gr. w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor: LEON PIWIŃSKI

Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.

BIBLIOTEKA
PIONU
Lublin